Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 30. Maja 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 22.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI.
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

O CELACH I DĄŻNOŚCIACH
piśmiennictwa galicyjsko-ruskiego

O wszystkiem, co u nas wychodzi z druku w ruskim języku, przyzwyczajeni jesteśmy sądzić ze stanowiska wyłącznie politycznego. Każdy, kto u nas zwraca uwagę na ruskie nowości literackie, pyta przedewszystkiem o polityczne dążności autora lub redaktora: jeźli piszący jest zwolennikiem rozpłynięcia się żywiołu małoruskiego w Wszechrosji, to niezawodnie każdy t. z. moskalofil z entuzjazmem pochwali wszystko, cokolwiek taki pionier „ruskiej idei" w Galicji napisze, bez względu na to, co to warto ze stanowiska literackiego; gdy znów zdarzy się, że ktoś z piszących po rusku zdradzi się z tem, iż rozmyślnie unika rosyjskich wyrażeń i zwrotów mowy, to z lekceważeniem przechodzi nad nim do porządku dziennego rosyjskie stronnictwo, a chwalą go z urzędu przeciwnicy tego stronnictwa; jeśli wreszcie treść utworu lub czasopisma nie ma w sobie absolutnie nic, co mogłoby być zużytkowanem dla tej albo owej tendencji politycznej, to krytycy będą się starali dać wyraz swoim dążnościom politycznym przynajmniej w ten sposób, iż będą kłócili się o pisownię autora: czy jest on zwolennikiem rosyjskiej *grażdanki,* lub ukraińskiej *kuliszówki,* albo wreszcie starej, neutralnej *kirylicy?*

Pomińmy jednak na ten raz politykę; powiedzmy sobie, że każdy płód literacki bez względu na swoją wartość i osobiste intencje autora zasługuje najpierw na uwagę jako objaw zewnętrzny zasobu myśli i uczuć, nurtujących w społeczeństwie, że przeto wypadałoby zastanowić się z ogólnego stanowiska cywilizacyjnego i nad galicyjsko-ruską literaturą, która istnieje faktycznie, i w różnorodnych kierunkach rozwija się — że warto, ażeby szersze koła zwróciły na nią uwagę, jako na rzeczywisty objaw jednego odcienia duchowego życia społeczności naszej. Można nie godzić się na żaden z dotychczasowych kierunków i dążności ruskiej literatury w Galicji, można w ogóle powątpiewać nawet o tem, czy jest ona potrzebną dla cywilizacji — to rzecz przekonania; lecz błędem byłoby nie zwracać na nią uwagi, jakby jej nie było, jakby to nie było prawdą, że złe i dobre płody tej literatury nurtują w bardzo licznych masach ludności...

Prawda, że pomiędzy autorami, piszącymi po rusku w Galicji, nie objawił się dotychczas ani jeden wybitniejszy talent literacki, że co do treści swej, jest galicyjsko-ruska literatura dość ubogą, i że wszystko, co ona wydała dotychczas, stoi na mniej lub więcej niskim szczeblu mierności. Literatura naukowa ogranicza się na kilku dość naciąganych pracach lingwistycznych; w dziale historji odznacza się głęboką erudycją ks. kanonik Pietruszewicz, który jednak położył sobie za cel życia raczej zbieranie materjałów do minionych dziejów Rusi halickiej, i nie napisał nic, co zapewniłoby mu trwałe imię w nauce, drugim zaś pisarzem ruskim, który samodzielnie badać umie źródła naukowe, jest dr. Izydor Szaraniewicz; w dziale poezji na wzmiankę zasługują chyba Fedkowicz, który pisał (bo teraz już nie pisze) utwory, będące naśladowaniem Szewczeńki na temat huculski, tudzież ks. Mikołaj Ustjanowicz, którego wiersze liryczne dość mile czytają się; dotychczasowe próby powieściowe galicyjsko-ruskich pisarzy nie mają żadnego artystycznego znaczenia — są to zazwyczaj pretensjonalne i nudne opowiadania dość pospolitych wypadków z ciasnej sfery towarzyskiego życia wiejskich księży.

Dziennikarstwo ruskie w Galicji zużywa mnóstwo papieru na wiekuistą polemikę — polemikę na wszystkie strony, która czytelnika albo rozdraźnia albo rozśmiesza, albo wreszcie nuży go, lecz ani charakteru ani umysłu jego nie kształci, nie podnosi. Dopiero założone przed kilku miesiącami czasopismo *Diło,* pod redakcją p. Barwińskiego, zamieszcza oryginalne artykuły rozumowane, dotykające rozmaitych spraw dodatnich, mogących obchodzić jego koło czytelników. To też szybko bierze górę to trzeźwe pismo nad bankrutującem *Słowem,* zapychanem jałowemi przedrukami z rosyjskich gazet, i łokciowemi korespondencjami świętojurskich znakomitości dekanalnych.

Lecz w jednym tylko kierunku ruska prasa perjodyczna krzewi się w Galicji potężnie i ze skutkiem — a to mianowicie *piśmiennictwo ludowe.* Ten dział literatury galicyjsko-ruskiej liczy kilku utalentowanych, z zapałem pracujących pisarzy, między którymi najznakomitszym jest ks. Naumowicz; rozporządza on też znacznymi środkami materjalnymi. Towarzystwo imienia Kaczkowskiego posiada kapitał żelazny wynoszący 40.000 zlr. w. a. i wydaje co miesiąc broszurki popularne, które rozchodzą się podobno w 4.000 egzemplarzy; czasopismo ludowe ks. Naumowicza p. t. *Nauka* ma mieć około 3.000 abonentów. Wydawnictwa te posiadają redaktorów, znających wybornie teren, na którym działają, tudzież środki, jakich im dobierać wypada dla osiągnięcia ich celów — a celem tym jest przygotować masy ludu ruskiego w Galicji do połączenia z prawosławną Rosją, pielęgnować w umysłach tego ludu i rozdmuchiwać stygnącą zawiść do „Lachów" i wyzyskiwać tę zawiść w tym kierunku, ażeby zaprawić go do pogardy katolicyzmu, do lackiej cywilizacji. Obok wybornych rozpraw treści moralnej i naukowej, tudzież opowiadań zajmująco i zręcznie pisanych, zdolnych przynieść prawdziwy pożytek duchowy kołu czytelników, dla których są przeznaczone, umieszczane bywają od czasu do czasu płomienne artykuły, apostołujące nienawiść w masach ludu wiejskiego do niechłopskich klas ludności.

Cywilizacyjne zadanie piśmiennictwa wszystkich narodów jest dwojakie: najpierw dydaktyczne, t. j. ma ono wpływać na rozwój duchowy narodu, podnosić go do coraz wyższego stopnia inteligencji, a następnie służy literatura wyższym ideom prawdy i piękna w utworach,

posiadających bezwzględną wartość naukową lub artystyczną.

Halicko-ruskie piśmiennictwo nie może mieć teraz donioślejszego zadania, jak uszlachetniać i kształcić surowe masy ludu, siać w duszy tego ludu ziarno idei cywilizacyjnych. Przypuszczać bowiem wypada, że jeżeli ktoś wierzy w możność samodzielnego rozkwitu małoruskiego piśmiennictwa, ten musi uznać, że zdoła on wykwitnąć chyba tylko z gruntu ludowej literatury. Więc pisarze ruscy, którzy ten dział literatury uprawiają, obrali sobie najwdzięczniejsze pole, na którem pracować mogą z najlepszym pożytkiem nietylko dla plemienia swojego, ale nawet i dla ogólnych interesów cywilizacji. Prawdę tę zrozumieli też ukraińskiej szkoły pisarze małoruscy, jak np. Szewczenko, Kulisz i Kwitka (a to co oni pisali, jest najlepszem w małoruskiej literaturze), gdyż temata do utworów swoich brali wyłącznie z ludowego życia.

Wynika przeto z tego co dotychczas powiedziałem o rozwoju piśmiennictwa ruskiego w Galicji, że żadną miarą nie wypada ignorować popularnej literatury ruskiej w naszym kraju. Wpływ jej szerzy się i zakorzenia niewidocznie, ale potężnie. A gdy z rozumnemi pojęciami, jakie ona rozkrzewia w umysłach ludu, pomieszane są także i zgubne teorje zawiści ku oświeceńszym i bogatszym klasom ludności, to na wypadek zmiany stosunków politycznych, np. w razie wojny Austrji z Rosją i wkroczenia wojsk carskich chociażby na krotki czas do Galicji, mogą wyniknąć z tego powiewu fatalne skutki.

Wiem, że teraz nie w modzie chłopomania, że czcze gadaniny o potrzebie pracy nad ludem uśmierciły w opinji publicznej zdrowe i roztropne poczucie potrzeby tej pracy. Każdy jednak przyzna, że to niedobrze pozostawiać w naszym kraju olbrzymie pole literatury ludowej niemal wyłącznie tylko pod opieką — *ks. Naumowicza!*

Ostrzeżenia tego nie piszę w tym celu, ażeby wywołać jakieś środki administracyjne przeciw działaniu tej literatury. To byłoby jeszcze niebezpieczniejsze, niż ignorowanie jej, gdyż zaogniłoby tylko jeszcze bardziej namiętności, zarówno u piszących jak i czytających. Jeźli zwracam na ten przedmiot uwagę ogółu, to tylko dlatego, ażeby wydobyć z bezczynności te środki i wpływy, które pielęgnując dobre instynkta ludu ruskiego, mogłyby najskuteczniej sparaliżować szerzoną w masach ludowych przez popularne wydawnictwa ruskie pod nazwą oświaty — propagandę moskiewską*).

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ksaweremu Wysockiemu, ktory koniecznie chciał czwórkę dla żony sprządz taką, aby się mógł nią pochwalić, licowego konia siwego brakło takiej miary i składu jak potrzebował. A był w tem wybredny, bo nie tylko maści chciał, figury w koniu, wieku, ale i temperamentu. Trafiały się siwe, zawsze jednak to za grube, to za cienkie, to za jasne, to za gorące, to za wałowite.

Ktoś mu powiedział, że główny leśniczy, dobrze mu znany Mazanowski, ma klacz jak ulał do jego trójki. Więc już nie spał tego dnia Ksawery, a nazajutrz wprost jak w dym do Mazanowskiego. Strzelbę włożyć kazał do bryczki na wszelki wypadek, a nuż się trafi puknąć i ruszył.

Spotkali się w drodze i zaraz o konia zapytał Wysocki. Spojrzał na siwe Mazanowski i rzekł:

— Moja podejdzie do waszych doskonale, jak rodzona siostra, ale to bieda, że ona u mnie jak moje dziecko wypieszczona i za lada jakie pieniądze jej nie dam.

— Jedźmy no do tej siwej.

Gdy przybyli, a wyprowadzono Lebiedę ze stajni i postawiono ją przy koniach Wysockiego aż się w nim krew zagotowała. Nie mógł słowa rzec tylko cmoknął.

Mazanowski kazał do stajni odprowadzić, i jeszcze gdy szła patrzali na nią, bo gdyby panienka, tańcowała z taką gracją, że kochać się w niej było.

— Co ty chcesz za nią?

— Potem o tem — rzekł Mazanowski — naprzód spocznij i zjedzmy.

»Zjedzmy« u takich ludzi jak Wysocki i Mazanowski znaczyło — napijmy się. Zaczęli od dwóch kieliszków wódki do stołu siadając, i gąsior jeden do piecystego wysuszyli, że kropli nie stało... Kazał Mazanowski drugi dać.

— Abyś nie myślał, że oficjalisty Radziwiłłowskiego na wino nie stało...

Pili siedząc długo, aż zaczęło im być gorąco.

Wysocki potniał z niecierpliwości co mu za klacz zaspiewa, a co począł o niej — Mazanowski umyślnie odpalał.

— Pij no, będzie na to czasu — mnie tej klaczy się pozbyć, to jak trzonowego zęba.

Miarkował Ksawery, że jej łatwo nie dostanie, a cóż miał robić? czwartego konia zawsze się przepłaca. Powiedział sobie muszę go mieć, choćby ze mnie skórę zdarł.

Do wieczora pili, a po kolacji pokładli się, bo już jeden i drugi bredzić zaczęli. Nazajutrz na czczo jak wsiadł na Mazanowskiego Ksawerek, a począł go całować, obsedować, prosić, do serca pukać, wziął klacz za pięćdziesiąt obrączkowych i dwa dukaty oduzdnego, co na owe czasy piękną ceną było. Musieli tedy targ oblać i zapić i gąsiorek nowy wystąpił.

Wysocki, który gdy naczczo był więcej milczał i śmiał się niż mówił, gdy wino w sobie czuł, stawał się otworzysty do zbytku. Plótł niestworzone rzeczy. Począł szeroko opowiadać jak to się on kochał i starał lat sześć z czubem o Łowczankę, i jak mu ją z przed nosa wziął chłystek, golec niejaki Zadorski.

Gdy to imię wspomniał, Mazanowski zaczerwienił się i pobladł, i gdyby nie zapił sprawy, zdradziłby się.

Nie wstrzymał się Ksawery od poufnego zwierzenia ze swojego pojedynku, choć rzecz trochę ogładził.

W Mazanowskim kipiało, a wąsa kręcił aż włosy wyrywał.

— Ale na tem nie koniec — dodał Ksawery — on mi nie ujdzie, ja mu tego nie daruję...

Ledwie Mazanowski dosłuchał do końca, gdy przez stół rękę wyciągnąwszy do Wysockiego zawołał:

— W to mi graj, i ja z tym bestją mam rachunek.

— A to jaki? — spytał Ksawery.

Mazanowskiemu do całej prawdy przyznać się nie wypadało na żaden sposób, rzekł krótko:

— Przemówiliśmy się z nim. —

Pili znowu, w tem gospodarz lampkę cisnąwszy z całej siły o stół — dodał:

— Nie chcę takiej kalumnii nawet na wroga rzucać, bo to znaczy infamią zadawać — ale, bodaj! bodaj! po kłębku do nici, żebym tylko nie doszedł, że szlachcicem nie jest, ale samozwańcem, oszustem, chłopem, chamem, synem starego leśnika, poddanym księcia mojego... O! żebym go mógł okuć w kajdanki, a dać na zamek do taczek...

Wysocki słuchając osłupiał, zimno mu się zrobiło, sama myśl ta, że go chłop bił i pobił była nie do zniesienia. Na zmycie tej plamy krwi było potrzeba.

Mazanowski począł po malutku ze złością taką zsiadłą jakąś, zaciętą, że straszniej było jej słuchać niż najnamiętniejszego wybuchu.

— Powoli, powoli! — mówił — po niteczce! niteczkę już cienką w ręku mam, spodziewam się z nią dojść do kłębka! Nie mówię jeszcze nic — ale w Panu Bogu nadzieja, że pomści zniewagę moją! Tropy są! dojdziemy!

— Ale możeż to być, aby prosty cham taki ważył się szlachcica udawać, szabli przypasywać i z nami za pan brat sobie chcieć żyć... Możeż to być, aby sięgnął po rękę córki szlacheckiej — toć kryminał!

— Dla tego nie mówię ja jeszcze nic dodał cicho Mazanowski, bo zadać to komu a nie dowieść — też kryminał. Tyle tylko mogę dziś powiedzieć że... podejrzenie wielkie i że się to wkrótce wyjaśnić musi.—

Zmilczeli oba, i niemal wytrzeźwili się gniewem, jaki się w nich poruszył.

— Niech to będzie między nami — począł gospodarz pomilczawszy — dajmy sobie słowo! Sza! Zwierza gdy się nań poluje płoszyć nie trzeba... Sza!

Przysunął się do Wysockiego i na ucho mu szeptać zaczął:

— Ot jak to było. — Siedzi podemną na jednym dziale lasu stary strażnik, Antoszek... Chytra bestja. Żonę ma pono szlachciankę z Huszczy czy z Tucznej. Dzieci oni niby to nie mają, mieli synka, ten powiadają, umarł. Tymczasem doszedłem, że się on opiekował jakimś sierotą, że go do szkół w Białej księżom wścibił,

*) O wydawnictwach Towarzystwa *Proświty* pomówimy w oddzielnym artykule.

i dowiadywał się... A to był ten sam Zadorski. I dwa razy już około chaty leśnika spotkałem tego Zadorskiego. Nie będzież to synek chłopa, którego chcą pomalować na szlachcica?? Daty mi się godzą, wiek jak ulał... jeszcze trochę poszperam, pochodzę, a gdy pewność zyszczę, ludzi wezmę Radziwiłłowskich i panicza w kajdanki. Dopiero niech rodzice i on odpowiadają za — oszustwo, za samozwańство. Szlachectwo sobie dawać, toć gorzej niżby się kradło i zabijało. A nużby chłop się ożenił z córką obywatelską, na cały ród, na całą krew infamia.

Wysocki mówić nie mógł, nie wiedział on za co się mścił Mazanowski, po głowie mu tylko chodziło jedno, że od chłopa był bity. Zdawało mu się, że ta plama na klejnocie, niczem nie mogła być zmytą, tylko krwią. Mazanowski też swojego płazowania pamiętny, to samo w duchu myślał.

— A długoż to może trwać, nim do kłębka dojdziecie? — zapytał głosem drżącym.

— Nie wiem — rzekł gospodarz — a że mi to na sercu leży (nie przyznał się że na plecach), klnę się na to!!

— A! i mnie — bąknął Wysocki. — Nuż się pociągnie wasza inkwizycja — dodał — a tymczasem bestja się ożeni i szlachecką córkę pozbawi szlachectwa! Mnie się na to wzdryga serce, i choć mścić bym się mógł, takiego im nieszczęścia nie życzę.

— Ja na to nie poradzę — odezwał się Mazanowski. — Przed czasem infamisa spłoszyć, ucieknie nam, a tu przykład zrobić trzeba, aby się chamy nie zuchwaliły. Już tego jestem pewny, że gdy się nasz Radziwiłł dowie, fraszka kajdany, zasieką go rózgami, bo on wie co to klejnot szlachecki i na co zasłużył kto go kradnie.

Po panu Ksawerym ciarki poszły — przecie rad był, że po siwą kobyłę pojechawszy, takiej wiadomości dostał, i nie żałował już pięćdziesięciu i dwu czerwonych złotych.

Zapiwszy dobrze tę sprawę i kupno, rozstali się podchmieleni, tak że Mazanowski zaraz się położył, a Ksawery aż do Kodnia spał na bryczce. Szczęściem przy sobie chłopca miał, który wiedział, że w takich razach pana przytrzymywać, było obowiązkiem.

W Kodniu już znacznie się przetrzeźwiony obudził, a chciał koniecznie jeszcze być, ucałować rączki Klaryssy. Poznała zaraz po nim, że w gościnie gdzieś bywał, i śmiać się poczęła z niego, a ten ją po rękach całował mrucząc.

Ciężką miał głowę, więc wniosła, znająca się na tem panna, iż nie było na pochmiel skuteczniejszej rzeczy, nad tęgiej wódki kieliszek. Stała ona zawsze w szafce.

Zgodził się na nią Ksawery, i istotnie język mu się rozwiązał. A pierwsza rzecz, którą przed nią wypaplał, była historja Zadorskiego, słyszana od Mazanowskiego. Zaklął tylko swoją dobrodziejkę na wszystkie świętości, aby o niej nikomu a nikomu nie powiadała.

Na to się uśmiechnęła figlarnie. Wiadomość uczyniła na niej wrażenie niezmierne, było to bowiem coś tak niepraktykowanego, niesłychanego, prawie nie do wiary, iż żadna moc w świecie utrzymać by w sobie tej plotki nie zmusiła.

Po wyjeździe kawalera poczęła rozmyślać Klaryssa, co z tem poczynić? Była mściwą, ale że ona sobie na chwilę chłopa podobać mogła i ludzie potem mogli jej to wytykać — więc niemiłem było dopuścić na nim jawnego przekonania...

Wreszcie, choć wiek ją ostudził, odezwało się to, co w najzepsutszem sercu niewieściem zawsze zostaje na dnie — litość. Żal jej go było.

Miarkowała, że gdy się Wysocki z Mazanowskim spikną, wyniknie z tego coś strasznego, i to lada dzień, lada godzina.

Tak się tem rozgorączkowała, rozmarzyła, tak jej trudno było utrzymać ten sekret i pójść z nim spać, iż natychmiast posłała dziewczynę z kawiarni po Koniuszego.

Choć godzina była bardzo spóźniona, nie miało to w sobie nic nadzwyczajnego, bo nie raz księżna, bardzo także gorącego temperamentu, gdy się jej co zamarzyło, o północy ludzi budzić kazała.

Gdy bosa dziewczka otwarła drzwi izdebki, w której spał Koniuszy, i krzyknęła:

— Panna Rejentówna pana prosi, tylko prędko!

Drobisz się zerwał i natychmiast odziewać począł.

W ćwierć godziny stawił się na rozkazy z tak pogodną uśmiechniętą twarzą, jak zawsze.

— No, a co pani od starego chce? — zapytał.

— Panie Stefanie! zamykaj drzwi i chodź a słuchaj, ale sekret.

Kiwnął głową.

— Słowo że sekret? — zapytała.

— Najświętsze...

— Tylko co Wysocki tu był, i oto co przywiózł! okropności, nie do wiary! wiesz! wiesz! wszak ten Jacek Zadorski to syn — chłopa.

Koniuszy się począł śmiać.

— Ale gdzie zaś! Ksawery do niego ząb ma.

— Toć nie on to skomponował! — przerwała panna — doszedł tego Mazanowski, ma dowody.

— Ale ba! Mazanowskiego on wypłazował!

Panna zamilkła, nic o tem nie wiedziała.

— Mów no moja dobrodziejka, jak Mazanowski tego doszedł? — zapytał stary.

Panna Klaryssa powtórzyła co jej mówił o leśniku Wysocki, a słuchający przypomniał sobie dopiero dwie owe podróże tajemnicze pana Jacka. Tknęło go to, ale nie powiedział nic.

— Prawda to czy potwarz — dokończyła Rejentówna — przekonaj się Koniuszy, że mam dobre serce... Boję się o niego! Jeżeli chłopem się okaże, zabiją go, zasieką i zgnije w Białej w kajdanach.

Popatrzyła mu w oczy — Koniuszy z wielkiem wzruszeniem w rękę ją pocałował.

— Niech to pannie Rejentównie Pan Bóg zapłaci — rzekł cicho — a nie wątpię, że zapłaci! Jak ono jest, to jest... choć źle zrobił, choć kryminał popełnił — a no, i mnie go żal.

— Cóż ty myślisz? — przerwała drżącym nieco głosem panna, wlepiając w niego oczy.

— Pójść do niego i rozmówić się z nim — otwarcie się przyznają. Jeżeli winien, niech ucieka... na co mają tu na naszym dworze robić taki skandal...

Nic nie odpowiedziała Rejentówna, ale nie broniła.

Koniuszy ją raz jeszcze w rękę pocałował, dodając:

— Bóg ci to nagrodzi!

Wyszedł w myśli, aby wprost pójść zbudzić Jacka — ale po drodze serce mu tak zabolało, iż razy kilka się zawracał. A tu czasu do stracenia nie było, bo Rejentówna, gdyby chciała, nie potrafiłaby sekretu utrzymać.

Noc była późna, Jacek spał jak zabity snem młodości kamiennym, tak że do ciemnej izdebki mógł wnijść Koniuszy i ognia skrzesać i siarnika poszukać i świecę zapalić, a Zadorski nie obudził się, dopiero gdy światło błysnęło.

Zerwał się przestraszony i siadł na łóżku.

— Co to jest? gdzie ja jestem? Pan Koniuszy! Czy już dzień? — począł przecierając oczy.

Stary stał i czekał, aż się zupełnie rozbudzi.

— Mam do waszmości interes — rzekł — dobrze sobie oczy przetrzyj.

Chociaż stary mówił jak zwykle, pewna zmiana w głosie, w tonie, coś suchego, zimnego w zawsze dobrym starcu uderzyło Jacka, który wstał żywo...

Koniuszy tak się w niego wpatrywał, jakby mógł wejrzeniem odkryć tę prawdę, po którą tu przyszedł. Szukał w nim jawnych znamion tego chłopstwa, w którego odmienną krew wierzył wraz z innymi.

Bóg wie co mu się snuło po głowie. Nie wiedział jak począć i biedził się.

— Co pan każe? — pytał niespokojnie Jacek.

— Mów mi prawdę — odparł stary uroczyście. — Masz nieprzyjaciół, doszli oni, tak mówią, że nie jesteś szlachcicem, żeś syn chłopa. Ojciec twój leśnikiem w dobrach Radziwiłłowskich.

Jacek słuchając pobladł naprzód, drgnął i — oczy sobie zakrył. Tego ruchu starczyło na odpowiedź. Szlachcic byłby się oburzył i krzyknął. Jacek stał milczący.

Był tak zabity tem słowem, że patrząc nań, Koniuszemu łzy się zakręciły w oczach.

— Kiedy już ludzie o tem gadają — dodał — nie masz tu co robić. Jutro może cię czekać niewola, kajdany i gorsza zemsta nad wyraz wszelki. Dopóki wolny jesteś, jedź, mówię ci, uciekaj, a pamiętaj — dodał z powagą — kłamstwem się na świecie nie idzie daleko.

— Panie Koniuszy — wykrzyknął Jacek — nie chcę mojej winy zrzucać na innych, co ją przez miłość dla mnie popeł-

*

nili, ale przysięgam ci, jam nie winien! Cofnąć się nie mogłem już!

— Wszystko teraz rzuć; nie ma rady innej, jeszcze tej nocy uciekaj! Życie ocal — dodał stary.

— Czekaj pan — podchwycił Jacek — naprzód odbierz swoje pieniądze; nie wszystkie są, ale ja nic z sobą nie biorę, pojadę jak stoję.

Stary nic nie odpowiadając na to, i nie odrzucając zwrotu pieniędzy — rzekł tylko:

— Weź kilkanaście talarów na drogę.

Ze spuszczoną głową, jakby sam był winowajcą, smutny, nie czyniąc wyrzutów, nie mówiąc nic więcej, nie chcąc słuchać tłumaczeń, Drobisz zawrócił się do drzwi.

— Jadąc klucz oddaj mojemu chłopcu — mruknął w progu i zniknął.

Jacek stał długo skamieniały, powoli oswoił się był z myślą swojego szczęścia, wierzył już w to, że mu się życie otwiera szerokiemi wroty, że będzie mógł spokojnie pracować, używać, dorabiać się, a może rodziców z ich położenia podźwignąć. Nagle runęło mu to wszystko pod nogi jak domek z kart za jednym wiatru podmuchem; widział się odartym ze wszystkiego, skazanym na wygnanie...

Cios taki gwałtowny zawsze prawie człowieka przybija i czyni w początku niemal odrętwiałym, dopiero później boleść się czuć daje. Jacek stał osłupiały. Ruszył się potem powolnie, obojętnie odziewać i patrząc nań nie byłby się nikt domyślił co cierpiał. Można go było wziąć za obojętnego.

Nie miał nawet przytomności by pomyśleć co weźmie na drogę, co zostawi. Machinalnie naciągnął na siebie pierwszą odzież jaką znalazł pod ręką, pozamykał wszystko, narzucił na siebie opończę, i zszedł na dół.

Noc była zimowa, z przymrozkiem, dosyć jasna i cicha. Zbudził chłopca Koniuszego aby mu oddać klucz, poszedł do stajni, konia sobie osiodłał sam i wyjechał. Dokąd? Jeszcze sam o tem nie pomyślał. Szło o to, aby nazajutrz już tu nie był, ani w okolicy.

Koń nawykły codziennie prawie do Wólki chodzić, sam się w tę stronę pokierował. Jacek uważając to, jakby za skazówkę, puścił go nie sprzeciwiając się ku Wólce. W miasteczku wszystko spało, w polu cicho było i pusto; do dnia daleko. Gdzie noc miał spędzić, nie wiedział. Tym czasem bułany wolnym kłusem szedł znajomą drożyną.

Jadąc tak przyszła na myśl panna Barbara. Mógł że tak odjechać, w świat się puścić słowa jej nie powiedziawszy nie pożegnawszy się z nią nawet?

A widząc się, miał-że przed nią kłamać, czy powiedzieć jej całą prawdę? czy zmilczeć!

Jak się to bardzo często zdarza, daleko wytrawniejszym ludziom niż pan Jacek, nie postanowiwszy nic, spuścił się na to czem natchnie chwila...

W głuchą noc stanął Jacek przed małą karczemką w Wólce i u wrót się zatrzymał. Znano go tutaj jako przyszłego zięcia pana Łowczego. Zastukał do okna aby mu otworzono i wytłumaczywszy gospodarzowi, że wraca z drogi dalszej w której się obłąkał, zażądał noclegu dopóki by we dworze nie powstawali.

Znał obyczaje tutejsze. Sama Łowczyna i Łowczanka były rannemi ptaszkami, czeladź wstawała też do dnia, ale gdzieby się mógł widzieć z panną Barbarą tak, aby na siebie oczów nie zwracać, trudno było wymyśleć. Zimowa pora utrudniała spotkanie. Trzeba się więc było spuścić trochę i w tem na los a podkraść do dworu, jak tylko się tam zaświeci i poruszy.

Położył się tym czasem na ławie i zasnął; ale sen miał przerywany i niespokojny. W parę godzin na gościńcu się już ruszać zaczęli ludzie, do karczemki zaglądać, a nade dniem wbiegła dziewczynka ze dworu z pytaniem do arędarza czy nie pojedzie do Kodnia. Zdziwiła się mocno zobaczywszy tu przynocowującego panicza, a on po cichu poprosił jej ażeby pannie o nim oznajmiła, bo się na chwilkę z nią widzieć musiał.

Szedł też w ślad za nią i stanął za węgłem domu.

Gdy pannie Barbarze szepnęła dziewczyna o Zadorskim, Łowczanka przeczuciem jakiemś ulękła się, ale nic nie mówiąc matce, narzuciła chustkę i wyszła.

— Łowczanko dobrodziejko, głosem drżącym począł w rękę ją całując Jacek, mam coś jej do powiedzenia. Stało się nieszczęście ze mną.

— Zabiłeś kogo? — spytała Basia.

— Nie, mnie zabić chcą — odparł Zadorski.

Tak mówiąc Łowczanka wskazała mu aby szedł za nią i wprowadziła go do swojego pokoju.

— Mów — rzekła śmiało — w bawełnę mi nic nie obwijaj, dzieckiem nie jestem.

Jacek milczał.

— Zadają mi żem nie szlachcic — rzekł Jacek otwarcie, ja się nie mam czem wywieść, znajdą łatwo pozory, zgubią mnie.

Panna Barbara brwi ściągnęła.

— Nie szlachcic! — zawołała — możeż to być?

— Sierota jestem, nie wiem — rzekł Jacek — co, a gdyby tak było?

Łowczanka westchnęła głęboko, i zaczęła się przechadzać po pokoiku. Zadorski widział jak zacisnąwszy usta, cicho płakać zaczęła. Stał jak winowajca.

— Nie szlachcic! — powtórzyła — więc chłop! poddany czyjś!

Wzdrygnęła się i tupiąc nogą — krzyknęła gniewnie:

— To nie może być!

Zbliżyła się do Jacka.

— Mów, to być nie może.

— Ja nie wiem — odparł chłopak — ja tu kłamać przed wami nie mogę. Byłem przez was szczęśliwy, daliście mi zakosztować choć nadziei, nie godzi się abym wam się wypłacał zdradą! Muszę uchodzić! wszystko przepadło.

Panna rozpłakała się głośno.

— O Boże wszechmogący, co tu poczać! Jam się przywiązała! Wstyd! Srom, żal, choć umierać.

Upadła na krzesło, a Jacek na kolana padł przed nią.

— Przebaczcie mi, nie przeklinajcie mnie, panno Barbaro, a niech wam Bóg da szczęście...

I całował ją po nogach.

Wtem Łowczanka się zerwała z siedzenia.

— Słuchaj — rzekła stanowczo — jedź, szukaj sobie szlachectwa gdzie chcesz, jak chcesz... Ja będę czekała, będę czekała choćby dwadzieścia lat! Ty sobie musisz znaleść krewnych i klejnot. To nie może być, aby nas tak Pan Bóg opuścił?

Wstąpiła nadzieja jakaś w serce Zadorskiemu, który się z ziemi porwał.

— Prawdaż to?

— Na Boga się klnę, nie pójdę za nikogo, będę czekała! — powtórzyła Basia — jedź, szukaj, staraj się, Bóg łaskaw... nad mojemi łzami litość mieć będzie...

— Jak zdesperuję — rzekł Jacek — to Łowczance dam znać, że mnie na świecie nie ma, bo żyć wówczas nie będę.

— Ani mi się waż — przerwała panna — musimy na swojem postawić.

Energja z jaką to mówiła, choć nie wiedząc sama na czem się opierała w tych nadziejach, coraz więcej Jacka ośmielała.

Całował ją po rękach, za kolana ściskał, nie wiedział jak dziękować.

— Zaręczeni jesteśmy z sobą, to tak jak ślub — dodała Łowczanka. Ksiądz mi sam mówił, że tylko błogosławieństwa kościelnego brak, a słowo dane to tak jak przysięga. Między żoną a mężem wszystko wspólne — dodała — mów mi prawdę? masz co na drogę?

Zaczerwienił się okrutnie Jacek i skłamał.

— Mam — rzekł — starczy mi com wziął...

— To dobrze — dorzuciła Łowczanka — ale kto wie jak się to długo pociągnie i co jeszcze trafić się może. Ja mam moich własnych dwadzieścia dukatów zapieczętowanych, które mi matka dała na wiązanie. Nie będzie potrzeba odwieziesz mi, a zapotrzebujesz, weź.

Pobiegła do kufra. Jacek się opierał, zmusiła go do wzięcia. Potem zaszlochała głośno i, pierwszy raz w życiu rzuciła mu się na szyję.

— A to żebyś pamiętał — zawołała — że mnie już rzucić nie możesz... Teraz, Bóg z tobą, jedź! jedź!

Takie było rozstanie, a gdy rodzice wstali, wypłakawszy się, oczy obmywszy, pomodliwszy się Łowczanka chodziła już około gospodarstwa, tak że trudno było poznać co przecierpiała...

Z rana klucz od stancji Zadorskiego odniósł chłopiec Koniuszemu, który poszedł sam, zrewidował wszystko, pieniądze swoje zabrał, bo ich mało co brakło, rzeczy obliczył, i mruknąwszy: Szlachcic czy chłop, ale poczciwy człek—poszedł pomyślawszy do sekretarza. (C. d. n.)

O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce

przez

Kazimierza Stadnickiego.

(Ciąg dalszy)

Król umarł 19. sierpnia r. 1506 [99]). Rada koronna w Krakowie, musiała jedna z pierwszych być o tem, zawiadomioną bo prócz gońców, wysłanych na wszystkie strony przez księcia Zygmunta, który będąc na drodze do Wilna, w mieście Liw na Mazowszu, otrzymał dnia 24. sierpnia doniesienie o śmierci brata [100]), bawili natenczas we Wilnie kanclerz Łaski, jak wyżej mówiono i podkanclerzy Maciej Drzewicki, biskup przemyski, później przybyły. Z listów Rady do tegoż, dowiadujemy się, że ona jeszcze 27. września o testamencie króla nie miała wiadomości, co ją spowodowało wysłać do Wilna *Firleja* na zwiady [101]). Zanim zaś ruszył w drogę, nadeszły pierwszych dni października, listy urzędowe z Wilna tej treści, że według powziętej uchwały, król nieboszczyk nie w Krakowie, jak to postanowił, ale w Wilnie pochowanym będzie, poczem rada litewska przedsięweźmie bezzwłocznie wybór W. księcia [102]). Pogrzeb w Wilnie tem tłumaczono, że do Krakowa musieliby dostojnicy ciału królewskiemu towarzyszyć, a natenczas zachodzi obawa, że w ich nieobecności, Michał, kniaź Gliński, zajmie Wilno i inne twierdze [103]). Błahy to nader powód! Gdyby kniaź Gliński żywił podobne zamiary, najsnadniej mógł je urzeczywistnić w chwili zgonu króla. Zygmunt był nieobecnym, a on hetman wojsk litewskich, równocześnie odniósł znakomite zwycięztwo nad Tatarami, pod Kleckiem. Miał natenczas za sobą urok zwycięztwa, i siłę zbrojną w pogotowiu, a bytność w Wilnie kilku dostojników, nie mogła przecież zapobiedz zamachowi stanu. Michał Gliński z bystrym swym rozumem (ingenji sagas, jak nazywali go współcześni), był dobrze świadom, że jedynym możliwym następcą zmarłego, był Zygmunt Jagiellończyk, jak lat kilkadziesiąt temu, był nim Kazimierz Jagiellończyk, gdy zamordowano Zygmunta Kiejstutowicza.

Była tego przekonania nawet W. ks. Helena i ostrzegła brata, W. ks. Moskwy, Bazylego, gdy ten posyłając do niej posła z kondolencją po śmierci jej męża, poruczył temuż czynić zabiegi, by jego wybrano na W. ks. Litwy [104]). A książę Zygmunt tak mało zważał na krążące wieści, o zamachach Glińskiego, że wolnym krokiem, w drodze bowiem ludność bezustannie hołdy mu składała [105]), dążył do Litwy, gdzie go na granicy pierwszy z dostojników przyjął Gliński z oświadczeniem, że zaszła zmiana w osobie W. księcia tylko, a nie we W. księciu. A więc „mort le roi, vive le roi [106]). Lecz przemagająca liczba dostojników łacińskiej i greckiej wiary, nie chcieli słyszeć o zlaniu w jednolite ciało ojczyzny ich z Koroną, pomimo, że lat pięć temu, rada przyboczna W. księcia na to się zapisała w Mielniku. Po woli ich był W. książę, któregoby sobie z łona panującego domu wybierali i według starożytnego zwyczaju instalowali, z udziałem Polski, jeżeli wybór nie naglił, ale zachowując przytem całkowitą samoistność i odrębność. W obecnej chwili zaś byli oni świadomi że zapraszając panów koronnych do wzięcia udziału w wyborze W. księcia, na co było czasu podostatku, bo król umarł 19. sierpnia a wybór Zygmunta nastąpił 20. października), ci staną, ale z wszelkiem prawem protestować mogą, gdyż od zgonu

---

[99]) Czy król Aleksander umarł po długiej chorobie śmiercią naturalną, czyli też przyczynił się do tego, jak to mówiono i pisano, Michał kniaź Gliński, ulubieniec królewski, a później, za jego następcy, zbieg do Moskwy, należy do zagadek, w które obfitują dzieje panowania Jana Olbrachta i Aleksandra. Może kilka uwag następujących rozjaśnią po części tę sprawę.

Przedewszystkiem wypada mieć na uwadze, że król zgasły 19. sierpnia (r. 1506), już roku 1505 na wiosnę został tknięty paraliżem podczas sejmu w Radomiu, z powodu przykrego zajścia z dostojnikami Litwy tamże przybyłymi. Gdyż sejm ów rozszedł się 31. maja (r. 1505), chorował więc król mniej więcej przez miesięcy piętnaście, zanim go śmierć z cierpień uwolniła.

Pomimo choroby nie przestał on zajmować się sprawami państwa. Zamknąwszy sejm w Radomiu, udał się z końcem czerwca do Krakowa, tam królowę matkę w sierpniu zmarłą pochował i w październiku opuścił stolicę, którą już więcej widzieć nie miał, by potem w Lublinie w styczniu roku 1506 drugi sejm zagaić. (Miechowita 1sze wydanie rozdz. 82.)

Dokumenta jego z tej epoki (akty Rosji zachodniej t. I.) i Kroniki Miechowity i Wapowskiego świadczą, że w pierwszej połowie marca po zamknięciu sejmu udał się z Lublina na Litwę. Tam na łożu boleści (languidus et paraliticus, mówi Miechowita) posłyszał o sławnym lekarzu, który osiadły we wsi Balin koło Olkusza, pierwej już we Węgrzech i Siedmiogrodzie praktykę lekarską, na doświadczeniu opartą (empiricam medicinam), wykonywał i do takiej doszedł wziętości, że nie tylko z Krakowa, ale z całej Polski tłumy chorych rady jego zasięgali. Pochodzenie jego niepewne. Kromer twierdzi, że był Grekiem, ale udawał Polaka (qui se Polonum dum esset Graecus mentiebatur). Miechowita (1sze wydanie) że był Polakiem, ale za Greka uchodzić chciał (is cum esset Polonus Graecum se asserebat). Wapowski tej kwestji nie rozstrzyga, mianuje go tylko szarlatanem, który nie wiadomo zkąd zjawił się (ignoti ac imperiti medici temeritas).

Co się wie pewnego, jest że ożenił się w Balinie, z tego powodu nazywano go Balińskim.

Tego więe empiryka, jak go nazywano, król z wielkim kosztem z Krakowa do Wilna sprowadził, z własnego popędu przeciw zdaniu lekarzy nadwornych, ale którzy nakoniec ustąpić musieli »Cedentibus medicis«, (mówi Kronika Miechowity w pierwszem wydaniu jedynie autentycznem).— »Za radą Glińskiego, którego samowoli nikt oprzeć się nie śmiał«, (mówi drugie cenzurowane wyd. tej samej Kroniki).

Empiryk kurację tem rozpoczął, że sparaliżowanego króla wprowadzał do łaźni i, w celu sprowadzenia potów, stawiał pod parą z ziół lekarskich sporządzoną. Była to więc parowa kąpiel, ale w oczach medyków średniowiecznych rzeczą niesłychaną i śmiercią grożącą, tem więcej że w dodatku malwazję i inne wzmacniające wina chory pijać musiał. Pierwszy więc między nimi, Maciej z Błonia, fizyk królewski, zaklina kanclerza Łaskiego, by wyrwał króla ze szponów pseudomedyka. Sprzeciwił się temu (jak znów twierdzi cenzurowana Kronika Miechowity) Michał kniaź Gliński, marszałek dworu, z powodu bardzo słusznego, że kuracja taka, raz rozpoczęta, przerwaną być nie powinna. Ale pokazało się, że wszechmocnym nie był. Dworzanie litewscy empiryka wtrącili do więzienia, ogołociwszy go przytem nie tylko z mienia wszystkiego, ale i chudoby. Udało się obnażonemu uciec z niewoli. Podejrzywano Glińskiego, że mu ułatwił ucieczkę, co gdyby to uczynił, naganić bezwzględnie niepodobna, bo prawdopodobnie całą winę empiryka to stanowiło, że przewyższał zdrowym poglądem ówczesnych krajowych medyków. Dowodem tego polepszenie w zdrowiu króla, które się po jego lekach ujawniło. W ostatnich dniach lipca bowiem, Tatarzy w wtelkiej sile najechali Litwę. Gdy doniesiono o tem królowi wraz z oświadczeniem, że szlachta nie ruszy się, jeżeli nie stanie na ich czele. On nie bacząc na przedstawienia lekarzy, każe bezzwłocznie przewieść się do Lidy, o mil dwanaście od Wilna odległej, tam na prędce składa sejm dla przedsięwzięcia środków obrony, i dopiero gdy zaniemógł z niezwykłego natężenia sił, a nieprzyjaciel zbliżał się do Lidy, zezwolił, by go w lektyce przeniesiono napowrót do Wilna, gdzie konającego doszła wiadomość o świetnem zwycięztwie pod wodzą Glińskiego nad wrogiem (Miechowita wydanie drugie — Kromer, Wapowski i Kron. Litwy, wydanie Narbutta).

Lat kilkadziesiąt później, Kromer, Wapowski i Stryjkowski z największem uniesieniem mówią o tem zwycięztwie pod Kleckiem, przypisując całą zasługę dzielności wodza Glińskiego. W bliższych tej sprawie czasach nienawiść do tegoż z powodu jego przeniewierstwa była tak wielką, że Miechowita poświęcając jej suchą wzmiankę, dodaje, »że je przypisywano oględności Glińskiego«. I tę wzmiankę zaś cenzorowie nie przepuścili, bo w drugiem wydaniu Kroniki stoi, «że zwycięztwo pod Kleckiem nie hetmanowi Kiszka (który przed rozpoczęciem bitwy zachorował i zdał na Glińskiego dowództwo), nie Glińskiemu, ale li opatrzności przypisywano, oraz dobrej gwiaździe króla, który walcząc z nieprzyjacielem i śmiercią, zwycięzca nad nieprzyjacielem, li przez śmierć zwyciężonym został.«

Ci panowie zaś nie śmieli otwarcie ze zaskarżeniem wystąpić, jakoby Gliński dybał na życie króla, tem mniej Kromer, Wapowski, nawet Stryjkowski.

Przecież nikomu więcej niż Glińskiemu zależało, króla przy życiu utrzymać. Wszechwładny jego ulubisniec, pierwszy magnat na Litwie, znając Zygmunta, wiedział, że wstąpienie tegoż na tron, wróży mu upadkiem. Ale dumny kniaź miał wielu nieprzyjaciół. Królewicz Zygmunt, gdy przybył do Litwy dla objęcia rządów, był już przez nich uprzedzonym, że zamierzał stać się jej panem. Kromer mówi: («plenus erat jam Sigismundi animus suspicionum non modo ex rumore vulgari sed etiam delacionibus procerum Lith. de Glinscio quasi principatum affectaret».) Przekonał się król, że siłę i sposobność miał kniaź po temu (jak to niżej omówionem będzie), a przecież tego nie próbował, przeciwnie, pierwszy panu swemu hołd złożył.

Zaczęto więc inne rozpuszczać wieści. Król Zygmunt w piśmie swem do Wielkiego kniazia Moskwy mówi, że gdy z Litwy udawał się do Polski dla objęcia tronu, stawili się przed nim dostojnicy, z którymi Gliński w radzie litewskiej zasiadał ze skargą, którą gotowi udowodnić, jako Gliński ze świata brata jego zgładził; że tożsamo twierdziła księżna Helena wdowa. (Akty zachodniej Rosji t. I. dok. 36, 41 z r. 1508 — 49 z r. 1509.) Gliński dla obrony swej czci żąda, by go stawiono przed sąd. (Acta tom. t. I. komentarz Górskiego.) Gdyby król przystał na żądanie tak sprawiedliwe, byłby sobie uchował wodza dzielnego, jakiego drugiego nie miała Litwa i którego sława daleko po za jej granice sięgała. Król zaś zwlekał sprawę, tak że kniaź zniecierpliwiony zbiegł do Moskwy i tam dobrze przyjęty, stał sie zaciętym wrogiem swego pana i rodzimego kraju.

Smutno zuś czytać w listach Zygmunta do Wielkiego kniazia, gdzie tak słusznie użala się na krzywdy wyrządzone mu przez przeniewiercę, jak światły monarcha co do przeszłości tegoż, tylko to przytoczyć może, że za pomocą czarów zgładził króla Aleksandra ze świata. (Akty ut supra.)

Stoi to na jednym szczeblu z listem Wielkiego kniazia do siostry, owdowiałej po królu Aleksandrze księżny Heleny, w którym jej tłumaczy, że Gliński wszechwładca w Litwie, greckiej wiary, ale pomimo statutów krajowych piastujący najwyższe godności w kraju, przy których go Zygmunt zostawił; Gliński, co wydał córkę w dom Gasztołdów, których praojciec jeden z najpierwszych przyjął wiarę katolicką na Rusi, dla ciągłego prześladowania wiary swej zbiegł do Moskwy! (Akty zap. Rosji t. II. dok. 20.) Nakoniec warto by wyśledzić, czy Gliński rzeczywiście był kniaziem rodowym ruskim. Ci pisali się ze stolicy ziemstw swoich. Miasteczko Glinsko (w gubernji połtawskiej) byłoże przed nim kniaztwem? Król w jednym ze rzeczonych listów mówi, że król Aleksander Glińskiego ze Smerdy zrobił panem (akty zap. Rosji t. II. dok. 49), a Glińskich w Polsce było i jest kilka domów szlacheckich.

[100]) Trzy rozdziały z historji skarbowości w Polsce, przez Tadeusza księcia Lubomirskiego.

[101]) Tomiciana. T. I. str. 9.

[102]) Mowa Firleja do zgromadzonej rady litewskiej (Tomiciana).

[103]) Komentarz Górskiego w Tomicianach t. I. Wapowski. Stryjkowski. Jeden Miechowita zamilcza ową baśń. Przeciwnie mówiąc o przybyciu Zygmunta na Litwę mówi: et prius per ducem Michaelem Hlinsky qui ejus hostis asserebatur suis gentibus invitatus et exceptus est.

[104]) Karamzin w tłumaczeniu polskiem t. VII. Fałszem więc jest, co mowi Koryałowicz w historji swej Litwy, że wybrano bez udziału Polaków nagle Zygmunta, z powodu że i kniaź moskiewski o to kompetował.

[105]) Lubomirski »Trzy rozdziały skarbowości w Polsce.«

[106]) Personam se principis non principem mutasse (Wapowski).

Aleksandra króla wybór ów miejsca już mieć nie powinien. Przeciwnie, chwila nadeszła, w której wspólnie wybierać mają na jednym sejmie jednego króla dla obu narodów. To były powody, dla których panowie litewscy wysłali zaproszenie na pogrzeb króla do Krakowa, po niewczasie na co im odpowiedziano, iż nietylko na dzień oznaczony przybyć, ale przylecieć było niepodobieństwem [107]), przytem ciż panowie ograniczyli się na suchem doniesieniu, że wybór W. księcia wkrótce nastąpi.

Przeciw temu samozwańczemu wyborowi zawiózł protestację do Wilna *Firlej,* szlachcic, który więcej stanowczości okazał niż całe grono dostojników koronnych z nieśmiałemi swemi odezwami. Przystał w imieniu mocodawców na złożenie zwłok Aleksandra w Wilnie, motywując to nader pięknie: „Niech, mówi, te zwłoki złożone u braci naszych będą, fantem łączności obu państw [108]). Ale z naciskiem wzywa zgromadzenie aby odstąpiło od wyboru W. ks. Litwy, i trzymało się ustawy przez ś. p. króla sankcjonowanej, że odtąd oba narody wspólnie jednego króla wybierać mają [109])

Szlachetna protestacja nie znalazła odgłosu w senatorskiej komnacie. Po złożeniu dnia 11. października królewskich zwłok w katedrze wileńskiej [110]), przystąpiono do wyboru W. księcia i Zygmunt Jagiellończyk dwudziestego t. m. jednogłośnie nim jako dziedziczny i rodowy Pan [111]) ogłoszonym został. (dok. n.)

NIEKONSEKWENCJA P. DROMMEL.

NOWELLA

przez

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy).

V.

Dziś i pani Drommel wzięła udział w wspólnym obiedzie; obecność jej wniosła wesołe usposobienie w grono biesiadników zebranych przy okrągłym stole jadalni; piękna kobieta, podobnież jak dobre wino, ma dar rozweselania serca człowieka. Jeden tylko Lestoc oparł się sile wdzięków niewieścich. Zdawał się niewiedzieć że siedzi przy jednym stole z piękną kobietą. Był roztargniony, zakłopotany; na czole jego zawisła chmura, w oczach tkwiło marzenie.

Pan Drommel, ze zwykłą sobie złośliwością, domyślił się od razu, że artyście żal się zrobiło, że nie dostał owych trzech tysięcy; wziął go na fundusz i robił sobie żarciki z jego zamyślenia i małomówności.

— Miej mnie pan za wytłumaczonego — usprawiedliwiał się młodzik: siłę się nad rozwiązaniem ważnego zagadnienia. Idzie mi o czas, miejsce i sposób postępowania. Muszę na swojem postawić, a przyznasz pan, że jest nad czem pomyśleć.

— Rzeczywiście, sposób postępowania, metoda, czy jak pan chcesz to nazwać, jest rzeczą niezmiernie ważną. Ale powiedz pan tylko o co idzie; dopomogę ci w rozwiązaniu tej zawiłej kwestji.

— Właśnie na pańską pomoc najwięcej liczyłem — odparł malarz; ale nie potrzebujesz pan nic mówić; jestem pewny, że dobra myśl sama mi przyjdzie do głowy gdy tylko popatrzę na pana.

I znowu pogrążył się w dumanie.

Wśród tej rozmowy, nadszedł ekskomisarz policji. Pan Drommel spostrzegłszy swego zaciętego wroga, zachmurzył się, i postanowił sobie w głębi ducha, dać mu uczuć przy pierwszej sposobności, cały ogrom antypatji jaką przejęty jest ku niemu.

Książe Malaserra usiłował rozproszyć jego melancholję; siedząc obok pani Drommel, był dla niej nadzwyczaj uprzejmy i nadskakujący.

— Po nad wszystkie losy ludzkie — mówił do niej — najbardziej do pozazdroszczenia jest los pana Drommel. Czego mu jednak najbardziej zazdroszczę, to tego, że kochany jest przez kobietę, która, ona, jak widzę, to anioł dobroci i słodyczy. A pocóż to wszystko? albożpan Drommel potrzebuje takiego szczęśliwego losu? Sam mi powiedział niedawno że łatwoby się pocieszył po każdej przykrości jakaby mogła go spotkać. Socjologów nic zmartwić nie zdoła.

— Zwłaszcza cierpienia drugich — czemu łatwo uwierzę — przerwał pan Taconet, marszcząc swe brwi krzaczaste. Ale co się tycze przykrości mogących dotknąć własną ich drogocenną osobę, jestem przekonany, że najmniejsza drobnostka uraża ich najdotkliwiej.

Oczy socjologa naszego zapłonęły ogniem; ukazał się w nich płomień oburzenia, który wypada niekiedy z oczu mędrców i pożera zwykłych profanów. Że pan Taconet zachował w tym wypadku swe życie, dowodzi to tylko, że silnie musiał być zbudowany i niezwykłego był hartu.

— Człowiek umiejący się szanować — wykrzynął doń pan Drommel — wystrzega się mówić o tem czego nie zna! Czy pan co wiesz o socjologji.

— Tyle wiem tylko — odparł — ile pan raczyłeś mnie wczoraj wieczór nauczyć. Dajmy jednak pokój socjologom; niech ich Pan Bóg ma w swojej opiece; w długiem mojem życiu spotkałem wielu paradoksalnych szermierzy, i mogę pana zapewnić, że w danym wypadku, paradoksy ich ustępowały przy najmniejszej przeciwności i nie pocieszały ich bynajmniej. Z paradoksami dzieje się to samo co z parasolem. Iluż to jest takich co podczas pogody nie ruszą się na krok z domu bez parasola, a zapominają go zawsze ilekroć na deszcz się zbiera. Najczęściej też tacy ludzie wyglądają jak zmokłe kury.

— Ja zaś znam innych — gwałtownie zarzucił mu pan Drommel — którzy paradoksem nazywają każdą prawdę przewyższającą poziome ich umysły i słabe ich pojęcia.

— Wierzaj mi pan — mówił spokojnie pan Taconet — należy się wystrzygać oryginalnych teorji. Pospolitość jest podstawą życia.

— Pospolitość jest cechą głupców — odpowiedział gniewnie pan Drommel.

— A brak konsekwencji znamionuje socjologów. Prędzej czy później, każdy z nich musi na tem skończyć.

— Jeżeli ma to być przymówka do mnie, przysięgam — zawołał socjolog — że ciężko mi pan za nią odpowiesz!

— Prawda w oczy kole — zauważył ekskomisarz z niezakłóconym spokojem.

Tego już było za wiele dla pana Drommel; rozjątrzony do najwyższego stopnia, zerwał się z miejsca, aby ukarać zuchwalca. Na szczęście żona powstrzymała go za rękę, a książe Malaserra uchwycił połę jego surduta, perswadując:

— Filozofowie, oni się nigdy nie obrażają.

— Na miłość boską! nie kłóćcie się, panowie, — przemówił spokojnie mały Lestoc. Przeszkadzacie mi w odszukaniu rozwiązania mojego zagadnienia.

— Ba! odpowiedział mu z tą samą niezachwianą flegmą, pan Taconet — kiedy się szuka we dwoje, a jedno drugiemu pomaga, to w końcu zawsze się znajdzie.

Mówiąc to, nie spuszczał oka z pani Drommel, która niewiadomo dla czego, zarumieniła się po same białka, a on dodał jeszcze:

— Zresztą, któż tu z nas nie ma czegoś do rozwiązania? Założmy się, że i jaśnie oświecony książe Malaserra łamie sobie głowę nad ważnem dla niego zagadnieniem, a tem bardziej jest godnym pożałowania, że mu nikt nie dopomoże.

— Nie wiem co pan chcesz przez to powiedzieć — mruknął nieco pomieszany książe, nachylając się nad talerzem,

Ekskomisarz zwrócił się jeszcze do pana Drommel.

— Ani pańskie teorje — rzekł — ani pańska osoba, nie przypadły mi wcale do gustu; a nadto jeszcze, ja pochodzę z Metz, a pan jesteś Niemcem. Mimo to wszystko, przyszedłem tutaj z silnem postanowieniem udzielenia panu dobrej rady; ale w obecnem pańskiem usposobieniu. .

— Obejdę się bez pańskich rad — przerwał mu — a jedyną przysługą jaką mi pan możesz wyświadczyć, będzie uwolnienie nas od swego nieznośnego towarzystwa...

— Mniejsza o to — odpowiedział uśmiechając się pan Taconet — kto ma wisieć nie utonie.

Rzucił serwetę na stół, i wyszedł. —

Z przykrością wyznać musimy, że odejście jego wszyscy przyjęli z zadowoleniem, nie wyłączając nawet małego Lestoc, który zawołał:

— Strasznie nieprzyjemna figura!

Pan Drommel ze swej strony, zaklął się na syntezę uniwersalną i na gimnastykę niemiecką, że odszuka tego gałgana tego łajdaka i drogo każe mu zapłacić za jego grubiaństwa.

— Cóż znowu, kochany przyjacielu — rzekł na to książe Malaserra — miałżebyś się zadawać z taką podrzędną istotą? z takim grubianinem? Mówiłem ci już, że policja francuska, nie ma ona żadnej edukacji. A i o tem trzeba pamiętać, że walka nie byłaby równa. Widziałem cię przecież dziś popołudniu. Boże! co za

---

107) »Adeo breve tempus sepultare addixistis ut ad honorandum funus aliquis ex nostris consiliariis non advenire, sed neque advolare posset.« Mowa Firleja do senatu litewskiego. Tomiciana t. I. Na pogrzebie króla w Wilnie, który odbył się 11. października 1506, zastąpił radę koronną z jej polecenia podkanclerzy i biskup przemyski Drzewiecki. (Item.)

108) In optima parte regni velut pignus communium istorum dominiorum memorandum per vos fratres nostros sepelitur. (Mowa Firleja.)

109) Ubi domino orbantur communibus votis in loco communiter intra regnum deputato regem et magnum ducem tanquam unum caput utrique dominio constituere et eligere debemus. (Mowa Firleja.)

110) Miechowita.

111) Tanquam haereditarium et naturalem dominum. (Tomiciana t. I. Komentarz Górskiego.)

gimnastyk z pana! jaka zwinność, jaka siła w ręku! Słowo honoru daję, skały się pana ulękły, zatrzęsły się ujrzawszy cię i dotąd jeszcze trzęsą się ze strachu.

Tu opowiedział pani Drommel wszystkie cuda gimnastyki jakiemi mąż jej unieśmiertelnił swój powrót z Fontainebleau — a opowiadał z takim zapałem, z takiemi kolosalnemi dodatkami, że bohater zaimprowizowanej epopei, podrażniony w najdelikatniejszym punkcie miłości własnej, rozruszał się i odzyskał wesoły humor.

— Jedno tylko miałbym do zarzucenia panu Drommel — ciągnął dalej książe — że zamało zachwyca się lasem, a las ten jest prześliczny. Ah gdyby zobaczył go przy księżycu!... Ale, wiecie co, państwo? Noc mamy spokojną, ciepłą; księżyc w pełni jasno przyświeca... cobyście powiedzieli na propozycję, żebyśmy zjedli kolację w Franchard? Wino Ai jest doskonałe, o tem już wiecie, ale ja mam jeszcze w mojej szafce pasztet z kuropatw z truflami, który tylko czeka na amatorów... O, mój przyjacielu, nie powiesz, że przechwalono lasek Fontainebleau, skoro zobaczysz go przy świetle księżyca.

Propozycja została przyjętą tak, jak na to zasługiwała. Że zaś wdzięki lasu i urok księżyca w pełni, tylko dla pieszych są dostępne, zgodzono się, że pan Drommel z księciem odbędą część drogi spacerem, pani Drommel zaś zabierze wino i pasztet i przyjedzie po nich powozem do wąwozu Apremont, a ztamtąd już całe towarzystwo uda się do Franchard.

— A pan, piękny młodzianie, naiwny siostrzeńcze panny Doroty, znakomity reprezentancie szkoły pejzażystów, nie będziesz nam towarzyszył? zawołał pan Drommel.

Piękny młodzieniec chciał się wymówić, twierdząc, że ma inne zajęcie, ale pan Drommel nie myślał ustąpić i gwałtem go zmuszał. Lubił on być hojnym na cudzy koszt — rad więc schwycił sposobność zapłacenia za akwarellę winem Ai i pasztetem z kuropatw, które nic go kosztować nie miały.

Pani Drommel nie brała żadnego udziału w rozmowie, ostateczny rezultat narady wydawał się zupełnie dla niej obojętnym. Nie przemówiwszy ani słowa, zwijała i rozwijała swój wachlarz któremu przypadło w udziale być zaufanym powiernikiem najtajniejszych jej myśli.

— A więc, zgoda! zawołał nareszcie artysta. Jakkolwiek wino Ai i kuropatwy z truflami nie bardzo mnie nęcą, nie chcę państwu odmówić. Ale do powozów czuję wstręt nieprzezwyciężony; Jestto jeszcze jedna pamiątka po ciotce Dorocie. Przyjdę sam na umówione miejsce, wiadomemi mi ścieżkami, wśród których będę mógł swobodnie myśleć nad mojem szatańskiem ukochanem zagadnieniem, bo i jakież to cudowne zagadnienie! Twarzyczkę ma, jakiej drugiej podobnej nie znajdziesz na bożym świecie, włosy jaśniejsze od słońca promieni, kibić wiotką i kształtną; biust i rączki do całusków stworzone, uśmiech który w człowieku dreszcz rozkoszy wzbudza, a obok tego wszystkiego serduszko próżne zupełnie jak mieszkanie do wynajęcia. Oh! jakże szczęśliwy ten lokator, który wynajmie je na całe życie! Powiadam państwu, żem głowę stracił dla mojego zagadnienia; szaleję za niem, uwielbiam je, życie bym oddał, aby je rozwiązać, posiąść je dla siebie tylko, dla siebie jednego wyłącznie... I choćby mnie wszyscy djabli mieli porwać wraz z całą szkołą pejzażystów, muszę tej nocy jeszcze znaleźć rozwiązanie, — co wszakże nie przeszkadza, że prędzej jeszcze od panów przybędę do Franchard.

Powiedziawszy to, wybiegł z sali.

— Oszalał! słowo honoru, oszalał! — rzekł pan Drommel do żony.

— Wolę takie szaleństwo niż poprzednią naiwność — odpowiedziała krótko pani Ada, której, niewiadomo dla czego, w piersiach tchu nagle zabrakło.

Było już wpół do dwunastej, kiedy pan Drommel i książe Malaserra opuścili główną aleję w Barbison, wstępując na stromą ścieżkę wśród gęstwiny, prowadzącą do wąwozu Apremont. Księżyc, zaproszony na dzisiejszą wycieczkę, starał się godnie odpowiedzieć książęcym zaprosinom. Prześliczny był, czarujący, przystroił się w najpiękniejszą swą, świąteczną sukienkę; rzekłbyś, że to nowy zupełnie księżyc, umyślnie wykrojony i przyozdobiony na dzisiejszą uroczystość. To posrebrzał promieniami swemi drobny piasek leśnych drożyn, to sypał pełną garścią djamentowe okruchy na skaliste odłamy; dwie czarne chmurki ścigały się z nim na szafirowym torze, on znikał na chwilę jakby go pochłonęły cienie nocy, to znów wypływał zwycięzki i dumny, srebrnym deszczem skrapiając tajemnicze ustronia lasu.

Kiedy stanęli na szczycie góry, książe wskazując ręką na rozwijający się u ich stóp ocean zieleni, zawołał:

— Spojrzyj, przyjacielu! i przyznaj czyż to nie jest piękne? czyliż nie zadrżysz na ten widok?

— Ja nigdy nie drżę! mości książe — odpowiedział pan Drommel. To nie jest moim zwyczajem.

I wyprostował się nagle, podparł się w boki, jakby rzucił rękawicę, wyzywając cienie lasu, aby popróbowały wzruszyć nieugiętego socjologa.

— Zaprawdę! z dziwnego materjału jesteś pan zbudowany, kochany przyjacielu! — zawołał książe Malaserra. Musisz mieć serce z bronzu albo dębowe... Dla mnie, wszystko to jest nadzwyczaj romantyczne, a ja przepadam za romantyzmem.

— Romantyzm to trucizna, wskutek której krew drętwieje, władze umysłowe miękną, a wola człowieka słabnie — zaprotestował pan Drommel ostrym swym głosem, złagodzonym cokolwiek w swej chropowatości przez względy szacunku dla krwi książęcej. My Niemcy, wyleczyliśmy się już z romantyczności. Dawniej głupi ludziska utrzymywali, że Francuzi zabrali ziemię, Anglicy morze, a dla Niemców został się tylko błękit nieba. Dziś, ziemia jest nasza, morze wkrótce zabierzemy, a błękit może sobie kto chce zabrać. Dla panów świata najwłaściwszym jest umysł silny i przebiegły w ciele z hartowanej stali. Siłę i przebiegłość mamy wrodzoną, posiadamy Cezara i już odradza się w nas pani świata, starożytna Roma.

Tak się wynurzał pan Drommel, porwany szlachetnym zapałem, a każdą myśl swojną stwierdzał uderzeniem nogi w cierpliwą ziemię. Długie jego ręce, wyciągnięte nieomal aż po krańce horyzontu, zdawały się zagrażać anneksją jednocześnie Senegalowi i Chinom.

— Zostawiam wam chętnie siłę i przebiegłość — odpowiedział książe z widocznem przeświadczeniem o własnej słabości — to nie dla mnie!... Ale marzenia były zawsze osłodą mojego serca!

— Strzeż się pan marzeń! — zawołał pan Drommel — one to są przyczyną żeś książe zmylił drogę.

W samej rzeczy, książę idący przodem, wszedł na mało uczęszczaną ścieżkę, kończącą się nagłym spadkiem góry, a raczej prawdziwym karkołomem, na którym nieroztropnie byłoby ryzykować się wśród nocy.

— Ale pozwól pan — zaprzeczył książe — znam ten las tak dobrze jak własną kieszeń.

— Przepraszam księcia — rzekł pan Drommel — człowiek taki jak pan, może się raz przypadkiem pomylić, bez potrzeby wyprowadzania ztąd wniosków na przyszłość. Wąwóz Apremont jest tuż przed nami. Pokazałeś mi go pan z daleka, gdyśmy wracali z Fontainebleau; a co raz zobaczę, utkwi mi w oczach i w pamięci na całą wieczność.

Książę Malaserra nie chciał ustąpić i starał się pociągnąć go za sobą; ale pan Drommel jest człowiekiem silnych przekonań. Pomimo uroku, jaki wywierały nań dwa pałace, najpiękniejsze w całej Sycylji gaje oliwne, pomarańcze wielkości dyni i tak szumnie brzmiące nazwisko Malaserra, upór jego przemógł należne dla książęcej krwi uszanowanie; po raz pierwszy wszczęła się lekka sprzeczka pomiędzy dwoma przyjaciołmi; ale chmurka ta prędko uleciała. Książę przyznał się że zabłądził i chętnie zwrócił się w właściwą stronę. Po chwili dał się słyszeć turkot powozu.

— Moja żona przyjechała wcześniej i czeka już na nas — przemówił pan Drommel.

Omylił się, bo powóz nie zatrzymawszy sie wcale, popędził dalej z całym możliwym pośpiechem.

— Zdaje się — rzekł książę — że spotkamy liczne towarzystwo w Franchard; księżycowi, jak widać nie brak wielbicieli.

Zstępowali ku głównej drodze. Łańcuch skał rozszerzając się nagle, przedstawił ich oczom małą prześliczną polankę, jednę z najwspanialszych miejscowości w lesie. W środku wznosiło się cztery czy pięć olbrzymich dębów o pokrzywionych i powykręcanych gałęziach, podobnych do ramion tragicznie wyciąganych; patryarchowie ci, wierzchołki których wyraźnie na jasnem odbijały się niebie, z dumą spoglądali na własne cienie zalegające dolinę. Nieco dalej, wysmukłe brzozy, o srebrzystej korze, jak widziadła w bieli, wybiegały z łona kolczastej gęstwiny. Grunt pokryty bluszczami i głogiem, podnosił się w górę tarasowo. Zewsząd wyzierały paprocie niezwykłej wielkości, pnąc w górę swe ciemno-zielonawe wychudłe i nastrzępione wierzchołki. Niektóre z nich, niewiadomo dlaczego, wydawały się jakby zagniewane; inne spokojnie gawędziły z księżycem. Tu i ówdzie odłamy piaskowca, jakby śnieżyste plamy, przerywały jednostajność zieleni; skała Marji-Teresy przypominała owego sfinksa, co na wpół zagrzebany w piasku, dawał przechodniom zagadki do rozwiązania i pożerał ich gdy nieodgadli tajemnicy. Drzewa i skały, dęby i paprocie, wszystko to przybrało charakter i pozór właściwy przedmiotom, które długo żyły, mają swoją przeszłość, swoje zwyczaje, wspomnienia, dzieje do opowiadania, a nad któremi przeszły wieki całe, tępiąc na nich ostrze swego miecza i pioruny swych gniewów.

Jakkolwiek pan Drommel uważał każdy

objaw podziwu, jako dowód nagannej słabości, nie mógł się oprzeć pewnemu wrażeniu; przez całe dwie minuty spoglądał na to czarowne zacisze, w którem dzika natura łączy się z szlachetnością form, z niezrównaną pięknością linji, a które, z przeproszeniem księżyca i księcia Malaserra, daleko lepiej podobałoby mu się przy świetle dziennym.

Jak łatwo się domyśleć, prędko ocknął się z swego zachwytu; oświadczył, że lasom francuskim brak owego głębokiego charakteru jaki cechuje najmniejsze gaiki niemieckie, że dęby francuskie mają zawsze kształty wymuszone, naciągane, i że tylko w Niemczech istnieją drzewa zupełnie naturalne, mające *Gemüth*. Nieodwołalny swój wyrok zakończył jednak uprzejmą wzmianką, że w każdym razie zachwycony jest tą maleńką wycieczką, bo kiedy się ma szczęście mieć za *cicerone* księcia Malaserra, każdy zakątek ziemi musi się pięknym wydać.

Mimo to wszystko jednak, twardy klin czuł w głowie; pani Drommel nie nadjeżdżała. Nigdy nie lubił czekać, a tu pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się, że zmuszony był oczekiwać.

— Pani Drommel jest nam koniecznie potrzebną — zauważył książę; nietylko dla zachwycającego swego towarzystwa, ale nadto, że wiezie z sobą pasztet i wino.

Dodał przytem, że musiała zajść jakaś pomyłka, że stangret powiózł zapewne panią Drommel inną drogą, że zatem najlepiej będzie iść wprost do Franchard, gdzie już niezawodnie ją zastaną.

Pan Drommel odparł na to z całą stanowczością, że żona jego nigdy ani na jotę nie zwykła odstępować od jego instrukcji, że bezwarunkowo niezdolną jest puścić się inną drogą aniżeli tą jaką on jej przepisał, że przeto jakiś wypadek nieprzewidziany musiał opóźnić jej wyjazd. Zaproponował więc księciu aby się zwrócili na jej spotkanie w kierunku do Barbison. Książę zgodził się i na to, chociaż nie bez skrzywienia.

Nie uszli jeszcze dwóchset kroków, kiedy książę zawołał nagle:

— Spojrzyj no, przyjacielu, co za piękne drzewo!

Wskazał mu palcem wielki dąb stojący nad drogą. Dąb ten, nazwany „szaleńcem“ (Rageur), ściśle mówiąc, nie jest już dębem; złożył już broń, zakończył swój żywot. Nie ma już młodych odrośli ani żołędzi! pozostał mu tylko pień potrzaskany, konary bez gałęzi, okryte szramami i bliznami; ktöżby policzył wszystkie ich rany? Napróżno wiosny ostatnie wyśpiewywały mu najtkliwsze swe piosnki, nie zdołały go zbudzić, nic się nie poruszyło w starem sercu, nic nie ożywiło zamarłych soków. Ptaki unikają go, bo nie ma już liści. Długo walczył on z wichrami, z lodami zimy, z wyrokiem przeznaczenia; uległ wreszcie i zasnął na zawsze, przechowując na złamanym swym szczycie piętno bohaterskiego zgonu. Ale chociaż pokonany, silnie on jeszcze stoi na nogach, jakby ostateczna klęska była jego zwycięztwem.

— Piękniejsze od niego widziałem w Saskiej Szwajcarji — odpowiedział zimno pan Drommel. Załóżmy się, że chociaż wydaje się taki gruby, obejmę go rękami.

Podbiegł i rozciągnął ręce w około drzewa; ale zaraz się przekonał jak śmieszną była jego zarozumiałość.

— Muszę się przekonać, ile też brakuje— zawołał książę Malaserra. Proszę cię, kochany przyjacielu, zostań tak jak jesteś. Mam swój własny sposób mierzenia grubości drzew; korzystając z tak dobrej sposobności chciałbym zrobić maleńką próbę.

Pan Drommel lękał się obrazić kochanego swego księcia, powtórną sprzeczką i po raz drugi nieprzychyleniem się do jego życzenia. Zrozumiał, że wypada mu zrobić to drobne ustępstwo i z uśmiechem na ustach zgodził się na zrobienie próby, której celu nie mógł odgadnąć.

Z zadziwiającą szybkością książę wyciągnął z pod swego płaszcza długą jedwabną szarfę czerwonego koloru, którą obwiniętą miał kilkakrotnie szyję, a której końce spadały prawie do samej ziemi. Jeden koniec tej szarfy przywiązał mocno do lewej ręki pana Drommel, przypatrującego się tej operacji zdumionem okiem. Następnie szarfę w około pnia przeciągnął.

— Lękam się czy nie będzie za krótka — rzekł — bo w takim razie próba by się nie udała. Wyciągnij pan dobrze prawą rękę. Ot, tak dobrze, wystarczy.

Za chwilę, prawa ręka pana Drommel została również silnie jak lewa skrępowana drugim końcem jedwabnej szarfy.

— I do czego to ma doprowadzić, kochany książę? — zapytał nic nie pojmujący socjolog. Doprawdy, nie mogę zrozumieć pańskiego sposobu mierzenia.

Więcej mówić nie mógł; korzystając, że miał usta otwarte, książę wsadził mu w nie, malutki zgrabniutki knebel kauczukowy, zawieszony na gumelastycznej opasce, a opaskę szybko założył na tył olbrzymiej głowy socjologa, która wiele rzeczy wiedziała, a tej jednej odgadnąć nie mogła.

Następnie, wyjął z kieszeni scyzoryk, przeciął nim sznurki woreczka zawieszonego na szyi swego przyjaciela, i zajrzał wewnątrz, aby się przekonać, że złoto i bilety bankowe rzeczywiście się w nim znajdują.

Zaspokojony pod tym względem, schował scyzoryk i woreczek, a uśmiechając się tak czule, że uśmiechu tego pan Drommel z pewnością przez całe swe życie nie zapomni — rzekł błagalnym prawie głosem:

— Wybacz mi, najdroższy mój przyjacielu! zwrócę ci tę drobnostkę w Malaserra.

I znikł. (Dok. n.)

BLONDYNI JAKO ARYSTOKRACJA LUDZKOŚCI.

W żadnym narodzie, który kiedykolwiek na ziemi naszej mieszkał lub mieszka, nie brak klasy uprzywilejowanej, czyli tak zwanej arystokracji. Czy więc nie ma takiego szczepu, któryby lepiej od innych wyposażony, przez przyrodę stanowił arystokratyczną odrębność śród całego rodu ludzkiego? W samej rzeczy istnieje szczep, który w postępie cywilizacji wzniósł się na najwyższy stopień rozwoju, który albo zmusił wszystkie inne do posłuszeństwa, albo też uczynić to zamierza. Tą gałęzią ludzkości są *blondyni*. Dotychczas znano ich pod nazwą arjów. Mimo to jednak są arjowie nieblondyni, tak jak nie brak nie-arjów, mających blond włosy. Znaczenie objawu, że blondyni są jedynymi prawdziwymi arjami, stara się wykazać jedna z najbardziej zajmujących broszur obecnej chwili, która pod względem pomysłowych kombinacji i wiedzy, zajmuje bardzo poważne miejsce między naukowo-popularnemi produkcjami. *)

Rasy rodu ludzkiego dzielono często dowolnie; dlatego też rozmaici uczeni rozmaite robili ugrupowania. Aby postąpić sobie w tym względzie pewniej i ściślej, należy możliwie najwięcej ras oznaczyć, z których każda staje przed nami samodzielnie, stanowiąc w sobie mniej więcej określoną całość. Rasy zaś te, mimo całej ich rozmaitości, odznaczają się wszystkie, prócz jednej, ciemnemi oczami, ciemną skórą i ciemnym włosem. Natomiast owa jedna, wyjątkowa, rasa posiada niebieskie oczy, jasną barwę skóry i blond włosy, prócz tego odznacza się gęstym zarostem brody i podłużną czaszką. Ztąd pochodzi owo jaśniejsze zabarwienie różnych części ciała. Pösche objaśnia ten objaw brakiem pigmentu. Podobnie, jak w zakresie wielu rodzajów zwierząt, i większości ras ludzkich bywają osobniki, odznaczające się skąpą ilością pigmentu, których też nazywają albinosami, podobnie jest cała rasa, mało mająca tego składnika w stosunku do reszty rodu ludzkiego. Albinosi ci liczniejsi co do liczby, mniej wszakże dotknięci tym brakiem, a więc pół-albinosi, są blondynami czyli arjami. Białe króliki, białe myszy, siwki a nawet białe owce, a między ludźmi często pojawiający się białoskórni, o jasnych włosach, czerwono-skórni członkowie ciemnych ras są całymi albinosami; blondyni niebieskooczy są nimi tylko przez pół i to w stosunku do całej ludzkości. Blondynów takich znajdujemy w następujących częściach ziemi: w Szwecji, Norwegji, Danji, w Niderlandach, Anglji, w Szkocji przeważnie, w północnych Niemczech bardzo licznie, w południowych Niemczech, we Francji itd. w ogóle zaś im bardziej na południe, tem liczba ich się zmniejsza; napotkać ich jednakże można nawet w północnej Afryce aż do Sahary. Wedle świadectw starożytnych pisarzy: trakowie, gotowie, scytowie i t. d. byli przeważnie blondynami i niebiesko-okimi, a komplikacja podobna zdarzała się również między grekami i rzymianami. Nawet chinczycy wspominają o ludach pogranicznych, między którymi byli blondyni. Słowianie są również przeważnie blondynami, podobnież i finnowie. Nie brak również żydów blondynów, lecz jedynie w krajach zamieszkałych przez plemiona jasnowłosych. Tak więc blondyni mieszkają począwszy od morza Lodowatego aż do afrykańskiej puszczy i od jeziora Bajkalskiego aż do Atlantyckiego oceanu. Środek zaś tego obszaru, od którego we wszystkich kierunkach liczba blondynów się zmniejsza, stanowi południowe wybrzeże morza Baltyckiego. Zwróciwszy naszą uwagę na język, przekonywamy się, że większość blondynów należy do tak zwanego *indo-europejskiego* językowego szczepu i dalej znów większość tego ostatniego odznacza się blond włosami. Indo-europejczycy bruneci (jak grecy, rzymianie, persowie, indowie i t. d.) podobnie jak ludy o blond włosach, nienależący do szczepu indo-europejskiego (finnowie), są *mieszańcami. Quod erat demonstrandum.*

W miejsce dawniejszej kaukaskiej czyli śródziemnej rasy, przyjmuje Poesche rasę *blond*, która wobec innych bardzo wyraźnie się zary-

*) Theodor Poesche »Die Arier« Ein Beitrag zur historischen Antropologie. 1878 Jena.

sowuje. Chodzi jeszcze o to, jakie jest tej rasy prasiedlisko? Dla uniknięcia pod tym względem nieporozumień, zaznaczyć wypada, że nie chodzi tu bynajmniej o okolice, które pierwsi przodkowie owej rasy zamieszkiwali, gdyż niepodobna naukowo wykazać, odrębnego powstania różnych ras. Znaczenie prasiedliska rasy polega raczej na tem, że w danej miejscowości dana rasa nabrała cech wyróżniających ją od reszty ludzkości. Jeżeli wedle dziś panujących w naukowych kołach poglądów, ród ludzki wzrósł i rozrodził się z jednej miejscowości, to nie mniej przeto miały pojedyńcze rasy odrębne swe okolice, w których stały się tem, czem nam się w dziejach okazują. Co się tyczy ras, które obecnie stanowią większość mieszkańców Europy, ludów mówiąc indoeuropejskiemi językami, to do dziś dnia jestto prawie nietkniętym dogmatem, że rasa ta rozwinęła się w Azji, mianowicie zaś nad Indusem. Hipoteza ta nigdy prawie nie była zbijaną; występowali przeciw niej oponenci, usiłowali dowieść, że prasiedliskiem indo-europejczyków były różne punkta Europy i północnej Azji. Do oponentów tych należą Benfoy, Fryderyk Müller i Lazarus Geiger a do nich przyłącza się Poesche. W badaniach dotyczących miejscowości prasiedlisk aryów, Poesche stawia następujące kwestje: Nie ma żadnego dziejowego świadectwa, dowodzącego, że aryowie przywędrowali z Azyi do Europy. Ludy w wędrówkach swych poszukują światła i ciepła, zdążają więc od biegunów ku równikowi, przybywają więc na naszą półkulę z północy. Tak silne plemię jak aryowie, rozprzestrzeniło się zarówno ku wschodowi jak i ku zachodowi; wziąwszy zaś pod uwagę największe ich rozprzestrzenienie, znajdujemy jako środkowy ich punkt okolice między Baltyckiem a Czarnem morzem. Prócz tego należy zwrócić uwagę, który język między żyjącemi największem odznacza się podobieństwem z pierwotnym indo-europejskim językiem? Wszyscy filologowie dowodzą jednozgodnie, że *litewski*. Ponieważ zaś rzeki są najdawniejszemi drogami komunikacyjnemi i najznaczniejszą w terytorjum języka litewskiego rzeką, jest Dniepr, przeto Poesche pragnie doszukać się prasiedliska aryjskiej czyli blond rasy w rokitowych błotach biorących początek swój z Dniepru. Już Herodot (IV, 108, 109) znał Budinów jako lud, jasno włosy i niebieskooki, zamieszkały w błotnistych lasach. Poesche uważa ich jako pozostałe resztki owej rasy, a mieszkańcy owych okolic są obecnie jeszcze blondynami i dużego wzrostu. Herodot kreśli dalej (IV, 53) Dniepr i jego okolice z taką predylekcją co do natury jego i klimatu, że Poesche tembardziej poznaje w nim kraj, w którym rozwinęła się tak silna rasa jak aryjska. Tak więc podług Poeschego arjowie stanowią lokalną ludność Europy t. j. pradziadowie ich mogli wprawdzie przybyć jako obojętni bezrasowi ludzie z Azji do Europy, jednak, oprócz cyganów w XV s., żadni inni ludzie nie przybyli jako arjowie, jako członkowie tego plemiennego i językowego szczepu, Potwierdza to również saga wspomniana przez Ammiana. Wykopaliska błotnistych okolic litewskich i ich sąsiedztwa, mieszczą w sobie długie i wąskie czaszki — co stanowi cechę aryjskiej rasy.

Poesche sądzi, że najstarsi Aryowie, którzy żyli we wspomnianych okolicach, znajdowali się na bardzo niskim stopniu kultury i że aryowie w ogóle pod względem cywilizacji są uczniami wschodnich cywilizowanych ludów — egipcjan, babilończyków, fenicjan i również ze wschodu przybyłych etrusków i t. d. Za ich pośrednictwem dostał się bronz do Europy na miejsce epoki kamiennej. Starożytni aryowie używali tylko narzędzi kamiennych i żyli ze swemi trzodami.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

TOM II.

— Cóż, panie te, panie tego, źle, panie doktorze dobrodzieju? — zagadnął pierwszy sekretarz. Laputańczycy mieli interweniować w Golkondzie, i nie interweniują, a z zatargów między Dalekarlią a Peloponezem także ponoś nic nie będzie tego roku, bo już niebawem śnieg zacznie padać, choć to w Peloponezie... Dosyć, że znowu musimy czekać i czekać, a tymczasem przyznam się, że gazety nasze djabelnie nudne!

— Nudne, nudne! Oklepany frazes ludzi powierzchownie rzeczy sądzących!

— Ba, już bo nawet i *Szturchaniec* zaczyna to wytykać! Czytałeś pan numer dzisiejszy? Właśnie wyszedł.

— Miałbym też właśnie co czytać! Pjane halucynacje jakiegoś oczajduszy Języczkowskiego, który ma *delirium tremens* i skończy kiedyś w rynsztoku! Nam, panie sekretarzu, w których sercu i ręku spoczywa przyszłość kraju, potrzeba zapatrywać się poważnie na sprawę publiczną, nie zaś zbywać ją płaskiemi żartami. Przyszedłem właśnie w tym celu, ażeby pomówić na serjo z panem dobrodziejem i zasięgnąć jego doświadczonej i światłej rady w pewnej kwestji niezmiernie ważnej i żywotnej, co do której mam projekt zupełnie już wypracowany i gotowy. Potrzeba mi tylko kogoś, co tak doskonale zna stosunki nasze wiejskie.

— O, znam je doskonale! Za młodych lat byłem wicesubstytutem zastępcy podinspektora niższej nad-rady okręgowej w Stawiczanach...

— Nie wątpiłem nigdy o wszechstronności wiedzy sekretarza dobrodzieja. Otóż przystępuję do rzeczy. Pierwszem naszem zadaniem jest oczywiście bezwzględna opozycja przeciw Chaocji, na zasadzie braterstwa wszystkich ludów jaźwingowskiego pochodzenia, do których należą Milicjanie, Merchy, Horczkodrajowie i inne plemiona wsławione w dziejach i odznaczające się własną, odrębną cywilizacją i wspólnością języka...

— O, tak, wspólnością języka! Ja sam z łatwością rozumiem każdego Merchę, zwłaszcza, jeżeli mówi po koszamerdynersku. Ale co do tej opozycji przeciw Chaocji, to panie te, panie tego, trzeba nam ostrożnie... można narazić kraj na straty nieobliczone. Lat temu kilkanaście, ojciec tego właśnie Wołodeckiego, który jest u pana w redakcji, stracił chleb i umarł w nędzy z powodu iż kilku opozycjonistów wieczerzało i nocowało w jego domu, o czem oczywiście dowiedział się oberkomisarjat. Miałem sam wiele do cierpienia z tego powodu; wyobraź pan sobie, że mnie, wypróbowanego patrjotę, mnie śmiano podejrzywać o tajny donos w tej sprawie!

— Okropność! — zauważył dr. Mitręga, notując sobie wszakże ten fakt w pamięci. Ale, nie oddalajmy się od przedmiotu. Jeżeli mówię o opozycji, to o opozycji legalnej, takiej np. w jakiej byliśmy stawiając kandydaturę Ciemięgi przeciw Bombogromskiemu.

— Brawo, taka opozycja, w to mi graj, panie te, panie tego!

— Spieszę do konkluzji. Ażeby legalna opozycja była skuteczną, trzeba mieć masy za sobą, tj. lud wiejski. Tymczasem lud ten jest w ręku lichwiarzy żydowskich, z których go wyrwać potrzeba, i do tego też zmierza mój projekt Banku Filodemicznego, obliczonego na razie na 3 miliony, a z czasem, na 30 milionów i więcej kapitału.

Sekretarz aż potarł głowę, na którą mu pot wystąpił; spostrzegł, że nie ma na niej czapeczki, włożył ją tedy i zdjął natychmiast, trąc włosy co raz mocniej i wyrażając w całej postawie swojej najkompletniejsze osłupienie. Po chwili zaledwie zdołał powiedzieć:

— A... a... zkądże wziąć tyle pieniędzy?

— Tyle! — rzekł dr. Mitręga z uśmiechem. Sekretarz zdajesz się być mniej obeznanym z manipulacjami finansowemi?

— To jest... tak... do pewnego stopnia... lecz miliony, miliony!

— Miliony są tylko frazesem, nie jeden co niemi operuje, nie widział ich nigdy. Proszę mię posłuchać. Jest nas dziesięciu, dwunastu, dwudziestu. Tworzymy grono założycieli, subskrybujemy, powiadam, subskrybujemy, nie płacimy, razem 100.000 idealników, układamy statut i przedkładamy go do zatwierdzenia w Krachenburgu. Zatwierdzenie to mam już jakby w kieszeni, dzięki moim stosunkom z różnemi ambasadami, zawiązanym podczas ostatniej akcji politycznej. Na zasadzie statutu wydajemy obligi dłużne, w sumie, przypuśćmy, jednego miliona. Obligi te sprzedajemy na giełdzie, po kursie, oczywiście, niższym od nominalnego, np. 90 za sto. Używamy do tego ajenta, dyrekcji jakiego banku krachenburgskiego lub tp. Ten zastrzega sobie prowizję 5 od sta, drugich 5 od sta zatrzymujemy sobie, jako należący nam się zysk założycielski. Mamy więc już 50.000 czyli połowę naszej subskrypcji. Zostaje 800.000 idealników, które rozpożyczamy na 12, a z różnemi dodatkami, 20 od sta. Od nominalnego miliona, wyniesie to 200.000 rocznie, a ponieważ od obligów płacimy tylko 6 procent, więc zostaje nam rocznie 140.000 zysku od jednego miliona, a przeszło 500.000 od trzech milionów. Zysk więc wcale znaczny, nieprawdaż, a przecież jakie to dobrodziejstwo dla tego nieszczęśliwego ludu, który

płaci żydom sto i dwieście nawet za sto, lichwy!

— Panie, to plan genjalny, kolosalny! Ale czy to być może, czy to nie złudzenie?

— Oto jest drukowany projekt statutów, a oto formularz podania, na którym brak tylko podpisów założycieli.

— Więc... nie ma jeszcze żadnego założyciela?

— Cha, cha, to właśnie mój sekret. Nasza szlachta uroiła sobie, że bez niej nic zrobić nie można, i chciałaby wszędzie rej wodzić. Ma się rozumieć, że od kogo wychodzi inicjatywa, ten później ma większe prawo do prezesostwa, do nadzoru, do dyrekcji itp. Otóż postanowiłem raz ukarać moich panów braci grandów i hidalgów, i pokazać im, że i bez nich, samem mieszczaństwem milicyjskiem czegoś dokazać można. Znajdzie się i dla nich miejsce, ale na szarym końcu. Dla tego też sekretarz dobrodziej jesteś pierwszym, przed którym cały mój projekt wyjawiam. Nie wątpię, że znajdziemy uczestników.

— Hoho! Dlaczego! Jest Abel, Bandura, Bykowski, Ceber, Cygański...

— Jakto, cała nasza »czerwona« lista, i cała »zielona?«

— Cała! Cała!

— Skoro tak, to należy nam wybierać najpierw ludzi dyskretnych, a następnie i takich, którzyby nie wahali się ponieść pierwszych drobnych wydatków na koszta założenia, podróży do Krachenburga itd. Następnie, ja i sekretarz udamy się do Krachenburga, dopilnujemy osobiście sprawy i wrócimy na parę dni tylko, ażeby ukonstytuować się, wygotować obligi, i znowu: wio! po pieniądze. Tutaj tymczasem inni koledzy dobiorą nam roztropnych ajentów, których rozeszle się po prowincji, ażeby wydawali promesy na zaliczki i pożyczki — i tak, najdalej za miesiąc, Bank Filodemiczny będzie w pełnym ruchu. Muszę jeszcze tylko zrobić uwagę, że prawo do zysków służyć będzie każdemu w miarę subskrybowanego udziału. Ja nie mogę w tej chwili subskrybować więcej jak 5000 idealników.

— Ja subskrybuję 20.000 tymczasowo, a potem, zobaczymy!

— A więc, dla przykładu, proszę! — Tu dr. Mitręga przysunął sekretarzowi arkusz starannie porubrykowany.

— Sądziłem, że pan doktor?...

— Jakto, już niedowierzanie? Wszak to jest dopiero arkusz prowizoryczny. Później dopiero sporządzi się akt notarjalny, formalnie i prawnie obowiązujący.

— Ach, dla Boga, wszak nie tak myślałem! Sądziłem tylko, że pan doktor, jako inicjator...

— Nigdy w świecie! na prezesa trzeba nam człowieka poważniejszego wiekiem, doświadczeniem i stanowiskiem, jak pan sekretarz dobrodziej!

— Kochany doktorze dobrodzieju!

Nastąpiły wzajemne uściski i zapewnienia przyjaźni, a po nich, podpisano arkusz. Plan, który w powyższej rozmowie wyłożyliśmy w głównych jego zarysach, znalazł licznych i chętnych adherentów. W lot subskrybowano całą sumę 100.000 idealników, sporządzono akt notarjalny, wybrano sekretarza Kluszczyńskiego prezesem, dra Mitręgę dyrektorem nowej instytucji. Na kasjera zarekomendował członek nadzoru pan Bandura niejakiego Salewicza, młodego człowieka ze Stawiczan, a pan Kluszczyński zatwierdził go jako pochodzącego »z dobrego gniazda«, o czem nieco wiemy z listów pana Wołodeckiego do syna. Założyciele złożyli nawet w gotówce około 3000 idealników na »koszta przedwstępne«, w czem i dr. Mitręga figurował z wkładką 150 id. zastosowaną do swego udziału.

Wśród tego wszystkiego, Stanisław redagował coraz pilniej i zawzięciej *Orędowniczkę Wilkowską*, całą rozśpiewaną obecnie w hymnach pochwały na Bank Filodemiczny i na jego założycieli, prawdziwych, szczerych przyjaciół ludu, pełnych energji, zdolności itd.

Redagował, powiadam, Stanisław coraz pilniej i zawzięciej, cóż bowiem miał biedaczysko robić? Był narzeczonym — świadczył o tem pierścionek, zimny reflektor jego uniesień miłosnych. Świadczyła o tem i pani Kluszczyńska, ile razy bowiem pojawił się w dworku, pokazywała mu jakiś nowy przybytek do wyprawy Natalji. Ale niestety, nic więcej o tem nie świadczyło. Panna Natalja, gdy ją zastał w domu, nie mówiła z nim prawie nic, albo tylko półgębkiem — chciałem powiedzieć, półusteczkami. Najczęściej nie zastawał jej wcale. Nie pojmował, co się działo, czuł tylko instynktem, że jakieś nieznane coś wciska się nieprzełamaną zaporą między niego a jego ideał. Raz powiedziała mu to sama bez ogródki, ale jeszcze nie w formie rekuzy:

— Będzie zawsze między nami coś, co nas będzie rozłączać.

Myślał o tej swojej nieszczęsnej profesurze, o jej pretensjach — zdaniem jego słusznych — ażeby jej mąż miał stanowisko niezawisłe i poważne. Jedną tylko myśl odpychał ciągle, chociaż mu się uporczywie nasuwała, tę, że go Natalja nie kocha i nigdy nie kochała, że nawet w ogóle należy do osób nieumiejących kochać lub kochać się tak, jak jeszcze tu i owdzie młodzi ludzie praktykujący spóźnioną w drugiej połowie XIX stulecia poezję w życiu, pojmują miłość.

Muszę tu zrobić jedną uwagę, i zastrzedz się przeciw jednej możliwej insynuacji.

Uwaga moja jest tej treści, że uderzająco piękne panny, szczególnie dobrze wyrośnięte i rozwinięte, i posiadające duże, orjentalnego niemal blasku ciemne oczy, najmniej jakoś przystępne są temu uczuciu tkliwemu i porywającemu, dla którego wydają się jakby stworzone. Do tego stopnia, że gdybyśmy byli poganami, jak Grecy, w naszej mitologji Wenus byłaby nie osobą, ale osóbką, szczupłą często aż do przesady, i kwalifikującą się chyba jako figurynka gipsowa na biurko, a nie na posąg taki, jakiego szczątki wykopano w Melo.

Zastrzeżenie się zaś niejako — mówiąc językiem prawniczym — »in aeternam rei memoriam«, na wypadek, gdyby niniejsza makulatura moja szczególnym trafem przechowała się do późniejszego czasu, i wpadła kiedy w ręce jakiemu badaczowi dawnych obyczajów. Powiedziałem, że w drugiej połowie XIX stulecia poezja jest spóźnioną, nie na czasie, i że mało kto praktykuje ją w życiu, chociaż wszystkie kosze redakcyjne świadczą o gwałtownej hyperprodukcji poezji pisanej. Należy to wszakże uważać jako modę równie przemijającą, jak inne. Są, a po nas zapewne pojawią się w większej ilości, ludzie umiejący kochać i nienawidzić, poświęcać się lub mścić, jednem słowem, żyć uczuciem nie odnoszącem się wprost do chleba powszedniego, a więc — poezją. Konstatuję jedynie, że około r. 1880 Europa posiada bardzo mało tego towaru »na składzie«, i że popytu na niego wcale prawie nie ma.

Stanisław martwił się, mizerniał, pracował, i znowu się martwił. Przez dziwną jakąś reakcję, twórcza strona jego umysłu, a więc strona niezawiślejsza nad inne, od woli ludzkiej, poruszała się na zupełnie innych torach. Pisał wiele i po za *Orędowniczką*, a wszystko co pisał, było pełnem swobodnego humoru, wolnego od goryczy i innych tego rodzaju exsudatów zawiedzionego serca. Szedł zwykle z grobową miną do przyjaciela swego, p. Śmiechowskiego, poddawał się bez opozycji i jęku jego szyderczym wycieczkom, a wysłuchawszy ich, wyjmował z kieszeni jakiś manuskrypt i dawał mu do czytania. Władysław śmiał się wówczas serdecznie, do rozpuku, konfiskował manuskrypt i mówił, że musi go pokazać »Maryni«. Marynia, jak sobie może przypomni czytelnik, była to starsza córka państwa Smiechowskich, która niebawem miała już opuścić pensjonat. W jakiś czas poźniej, Stanisław znajdował utwór swój ogłoszony drukiem, z podpisem autora, w jakiemś piśmie niepolitycznem, a jeszcze poźniej, otrzymywał przez pocztę niespodziewane zupełnie honorarjum. Tak to zawsze prawie bywa prawdą, że smutni ludzie piszą najzabawniejsze rzeczy.

A panna Natalja?

O nią dowiadywać się musimy u pani Swatalskiej.

Pewnego razu, wśród najgorętszej »akcji« dotyczącej założenia Banku Filodemicznego, stanął przed dworkiem pp. Kluszczyńskich powóz (NB. najęta tak zwana »remiza«; wyglądająca jak ekwipaż prywatny), z którego wysiadł p. Mitręga, a w którym została jakaś niemłoda już pani. Na ganku była pani sekretarzowa i panna Natalia.

— Czy wstąpić po ciebie, Maniu? — zawołała dama z powozu.

— Jeżeli ciocia łaskawa, prosiłbym za godzinkę.

Ciocia pozdrowiła grzecznie obie panie na ganku, skinęła ręką siostrzeńcowi i odjechała. Za godzinkę trwającą około 10 minut wróciła. Manio konferował w najlepsze z Ablem, Bandurą, Bykowskim, Cebrem, Cygańskim, i t. d. o planach finansowania obligów Banku Filodemicznego na giełdzie w Krachenburgu, musiała więc ciocia poczekać. Grzeczność nakazywała

prosić ją, żeby wysiadła. Ze wysiadła natychmiast, o tem nie wątpi zapewne nikt, kto się domyślił, że cały manewr ułożony był z góry. Nietylko wysiadła, ale piła wodę z konfiturami, a później kawę, i nie przestawała wynurzać radości, że ma przyjemność poznać dom, o którym Manio zawsze z największym tylko zachwytem wspomina. Chociaż młodzi ludzie zawsze w takich razach skłonni bywają do przesady, ciocia musi zarzucić Maniowi, że jeszcze nie dosyć pięknych rzeczy naopowiadał jej o tym domu, a w szczególności o pannie Natalji? Gdzie on miał oczy? Co to za porównanie z pewną panienką, z którą go, między nami mówiąc, swatano, gdybym ja (ciocia) nie była założyła stanowczego veto. Czy panna Natalia będzie na kursach? (N. B. końskich, nie giełdowych.) Nie, bo mama zbyt jest zajętą gospodarstwem. Ach, gdyby mama pozwoliła, ciocia przyjechałaby po pannę Natalię — bo także czuje się osamotnioną, z powodu, że siostra jej, panna Klotylda z Komerażowic Habdank Siebenzwetschk-Szlachcińska (piszemy się Siebenzwetschk, po Wielkim Mistrzu Krzyżackim Siebenzwetschku, który był naszym przodkiem po mieczu*) — obawia się przeciągów, a te na kursach mają być tak wielkie, że często dżokieje a nawet panowie, spadają z koni. Mama przyjmuje propozycję z wdzięcznością; dla czego Natalia nie ma się zabawić? Natalia jest tedy na kursach, w ekwipażu pani Swatalskiej. Przedstawiają jej jakiegoś starego barona, który ogląda ją tak ciekawie, jak gdyby była *folblutką* wyprowadzoną na sprzedaż. Turpin dr. Emanuela wpada na arenę między ścigające się konie. Rotmistrz baron von Mordelement okłada go szpicrutem, p. Emanuel przysięga (w ekwipażu), że jutro o wschodzie słońca zgładzi rotmistrza kulą z tego świata. Ciocia chce mdleć, Natalcia ze łzami w oczach błaga p. doktora, ażeby się uspokoił— dr. Mitręga wspaniałomyślnie darowuje życie Mordelementowi.

Tak tedy, panna Natalia jest *accaparée* przez p. Swatalskę, bywa u niej w domu, towarzyszy jej po kwestach, po zebraniach na cele dobroczynne. Nie słyszy nic, jak tylko: »nasz kuzyn hrabia X. i nasz kuzyn baron Y.« »Ta nudna Jej Łaskawość, Oberkomisarzowa hrabina Koniecpolska, *ambetuje* mię swoim *kreszem*«. »Książę chaocki Childeryk mówił mi: *savez-vous, chère comtesse*, znałem jednego Siebenzwetscha w Honolulu na dworze królewskim, *aber das war ein ausgelassener Patron*«. »Manio dójdzie do wielkich rzeczy, bo ma ogromne talenta i znakomite koneksje. Hr. Koniecpolski powiedział mu na wyścigach, ażeby nie zapomniał przyprowadzić żonę na pierwszą recepcję, skoro się tylko ożeni«. (NB. recepcje u Ober-komisarza bywają nie przyprowadzane, ale proszone.) — Widzimy z tego, że panna Natalja bawi się, ale w duszy jest smutną. Stanisław bawi drugich, a w duszy jest jeszcze smutniejszym. Na tej sytuacji psychologicznej kończymy rozdział. (C. d. n.)

*) Pomimo celibatu? P. zecera.

PIERWSZY KONGRES HISTORYCZNY W POLSCE.

Wiadomo już z pism codziennych, że w Krakowie odbywały się począwszy od 18 do 21 maja posiedzenia zjazdu historycznego, i że tak zjazd jak i odroczone z pierwszych dni maja doroczne posiedzenie Akademji umiejętności, za rządzone były celem uczczenia pamięci najpracowitszego historyka polskiego Jana Długosza. Jednocześnie odbyło się także przeniesienie szczątków śmiertelnych Długosza do grobowca, który mu dziś, po czterech wiekach, wznieśli rodacy. Połączenie tej czci dla przeszłości, z pracą, którą wysnuć mają pokolenia przyszłe, ma głębsze znaczenie, niż to uczestnicy zjazdu zaznaczyli, niż im może zaznaczyć wypadało.

Znaczenie naukowe, niejednokrotnie w ciągu rozpraw podnoszone, wypływa samo przez się tak z treści rozpraw, jak i z ich celu poszukiwań prawdy w dziedzinie ducha i wiedzy. Znaczenie to utrzymają bezwzględnie i przyszłe zjazdy, które według uchwały zapadłej na kongresie, powtarzać się mają co pięć lat. Znajdzie niewątpliwie wyraz pełniejszy w niedalekiej przyszłości i druga dążność na kongresie objawiona, a mianowicie: zbliżenie się narodów na niwie prac naukowych, na drodze szukania prawdy i światła. Światło bowiem rozprasza ciemności, upadają przed niem uprzedzenia i przesądy, milkną niechęci i waśnie narodowe. Po upadku tych biernych przywar, tej drzemki ludzkiego ducha, powinnaby zapanować sprawiedliwość.

Wyrobienie poczucia sprawiedliwości w ludach, które pod wielu względami idą naprzód, a pod tym jednym, nie umieją stanąć na poziomie tylu tak świetnych zdobyczy wiedzy, to także jedno z zadań wszelkich prac, które mają za godło: nauka.

Chcemy wierzyć, że poczuciem swem przejęci byli przedstawiciele wiedzy narodu niemieckiego, gdy w imię prawdy krytycznej, w imię wiedzy i co za nią idzie, światła, zabierali głos w gronie osiwiałych i młodych uczonych polskich.

Według nas bowiem, wszelkie zdobycze naukowe wieków przeszłych i przyszych, nie miałyby celu, nie byłyby godne tej wielkiej czci, jaką zdobywają u współczesnych i potomnych, gdyby ich szermierzom jako cel najwyższy nie przyświecała ta wielka prawda, że u kresu starć naukowych, walk, zdań sprzecznych i waśni politycznych, powinna wyjść zwycięzko: *sprawiedliwość międzynarodowa*.

Takie to właśnie znaczenie przywiązujemy do połączenia czci dla przeszłości z pracą naukową przyszłych pokoleń.

Kongres ten pierwszy naukowy wytknął drogi główne, zakreślił ich plan, rozpatrzył materjały do przyszłej budowy, ale ani tych dróg, ani ich biegu nie może przenosić na rzecz cudzego dobra, ani też co ważniejsza, nie może summy zdobyczy na polu nauk poświęcać chwilowym względom, czyli innemi słowy, musi z danych materjałów wyczerpnąć całą prawdę, choćby ona obalała wszystkie dotąd uznane doktryny w życiu politycznem państw i narodów. Dopiero bowiem w życiu publicznem, w życiu narodów, objawiają się prawdy zdobyte nauką i badaniem. Rządy je zastosowują. Jak widzimy, dziś, łamiąc się jeszcze i mocując z nowoczesnemi poglądami. Obok pojęć nowych i wykonywania ich w życiu, piętrzą się straszliwe przesądy. Nic to dziwnego. Rządy składają się z ludzi, a ludzie są docześni. Gdy młode pokolenia zasilone wiedzą przyjdą do steru, przyjdą wraz z nimi i nowe pojęcia.

Pamiętajmy jednak i o tem, że prawdy zdobyte wieloletnią pracą uczonych, długo spoczywają w księgach, nim się staną regulatorem systemów politycznych. Często idea żyje już w umysłach wielu społeczeństw, nim jedno wcieli je w życie, w swoje prawa i rząd. Gdyby nie to— nie frymarczonoby sprawiedliwością międzynarodową. To pewna, że do zdobycia jej droga lubo długa, lecz pewna — to droga wiedzy i światła. Takiego rezultatu spodziewamy się po pracach tego kongresu pierwszego i po następnych zjazdach historycznych. Jest równie uzasadniona nadzieja, że przybierać one będą coraz wybitniejsze znamiona zjazdów *międzynarodowych*, by tryumf odniosła takaż sprawiedliwość, a chwałę i swobodę naród polski.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

(Dzieje najnowsze 1789 — 1871. Opowiedziała dla młodzieży, Jadwiga Sawczyńska. Kraków 8ka str. 200 i XXXV. Nakładem Himmelblaua 1880 r.)

Jakaś manja spekulacyjna opanowała u nas umysły na polu pisania książek historycznych. W ostatnim czasie wyszło kilka podręczników historji polskiej, zastosowanej do gustu austrjackiego pod dziwacznemi tytułami, Historji kraju rodzinnego, Dziejów ojczystych i t. p., ale że te rzeczy tak łatwo pogodzić się nie dadzą, więc nasamprzód dzieła te przez nadanie im fałszywej tendencji zostały przez krytykę potępione, a powtóre dla władz okazały się jeszcze za bardzo patrjotyczne i do szkół ich nie przyjęto.

Dzieje najnowsze także mają chęć dostania się do szkół, więc wypadki zaszłe w ostatniem stuleciu są króciutko zbywane i prawda w bawełnę obwijana, do szkół jednakże nie dostaną się tem bardziej, że autorka nie siliła się nawet na to, aby przytłumić w sobie uczucia polskie. Jako podręcznik znowu ramy książki są zbyt szczupłe, aby w nich najnowsze dzieje opowiedzieć, same bowiem apodyktyczne sądy bez poparcia dowodami twierdzeń autorki nie mogą mieć znaczenia. Weźmy przykład: „Rząd tajny narodowy (polski) nie chciał spokojnego zakończenia i przyjęcia reform (Wielopolskiego), łudził się, że powstanie potrafi wybuchnąć (?!?), a co ważniejsza utrzymać się i dojść do celu. Na tej drodze *zdawał się (?)* popierać powstanie Napoleon III., powtarzając: róbcie, a po wybuchu powstania trzymajcie się, (gdzie, kiedy, komu ???,) dając tem do zrozumienia, że skoro się wycofa z Meksyku, przyjdzie nam w pomoc. (Wiecznie niby ktoś nas łudził, a to myśmy się tylko łudzili zawsze obcą pomocą, gruszkami na wierzbie. Napoleon III. sprzyjał powstaniu, chciał dopomódz, jak to wskazuje mowa jego z d. 5. listopada 1863, ale nie mógł). Wielopolski nakazał brankę (rekrutację) na ostatnie dnie lutego (zapewno ma być Stycznia) 1863 r. licząc, że wszystkie niespokojne indywidua wyłapią; była to wielka omyłka, bo w tych właśnie dniach *niby (?)* dla uniknięcia branki, wybuchło powstanie (czy autorce niewiadomo, że Rząd Narodowy zdecydował się na ogłoszenie powstania w nocy z 21. na 22. stycznia, gdy już tysiące ludu uciekając przed branką tułało się po la-

*

sach od trzech dni?) i trwało blisko dwa lata, pożerając najdzielniejszą młodzież i wszelkie siły materjalne nietylko Królestwa, ale tak Galicji jak i Księstwa. Czasy te zbyt są bliskiemi, aby o nich już pewne i ostatnie wypowiedzieć zdanie (wielka prawda), to jednak, że korzyści nie odnieśliśmy *żadnych* mimo tysięcy, tysięcy ofiar nie ulega wątpliwości (zkądże to przypuszczenie? Zbyt śmiałe i zbyt nieprawdziwe, bo wręcz niemożliwe), a co najgorsza straciliśmy unitów, bo odtąd (?) przymuszają ich do prawosławia (Szkoda, że już przed powstaniem 1863 r. kilka miljonów przymuszonych zostało do prawosławia), co znaczy toż samo, co zmoskwicenie (bynajmniej nie jest to tosamo, zagraża to tylko przewadze katolicyzmu w Polsce)".

Pisząc taki krótki przegląd wypadków najnowszych czasów, niewątpliwie bardzo jest trudno ustrzedz się stronniczych sądów i tysiącznych niedokładności- ale też najlepiej jak najmniej sądów wydawać i jak najściślej faktów się trzymać.

Zresztą książka czyta się bardzo łatwo i w p. Sawczyńskiej witamy bardzo utalentowaną autorkę.

Kronika Tygodniowa.

Przyznam się, że z niewielką ufnością spoglądałem dotychczas na wszelkie usiłowania, dążące do stworzenia jakiegoś towarzyskiego ogniska dla naszego literacko - artystycznego świata. „Ażeby zrobić potrawkę z zająca — powiada Brillat - Savarin — postaraj się najprzód o zająca"; — stosując pewnik ten niezaprzeczalny do naszych literatów, artystów i dziennikarzy, stawiałem sobie pytanie: czyli szanowni moi bracia i kuzyni w Apolinie posiadają onego zająca, który niezbędnym jest do wytworzenia potrawki towarzyskiego życia, t. j. czyli posiadają towarzyskość do życia towarzyskiego niezbędną?

Niechaj mi P. T. bracia i kuzyni moi w Apolinie wybaczą, lecz w sumieniu mojem odpowiadałem sobie zawsze przecząco na to zapytanie. *Galiciani sumus, et nihil galicianiani a nobis alienum esse puto;* — po polsku: Galicjanami jesteśmy, a wszystko co galicyjskie, odbija się w nas tak jak w zwierciedle; — że zaś nietowarzyskość należy do najgłówniejszych wad Galicjanina, tego podobno tym co czytali *Parafjańszczyznę* Leszka Borkowskiego, a jeszcze bardziej tym, co żyli w naszym deskami zabitym świecie, dowodzić nie potrzebuję.

Po tej otwartej spowiedzi mej winy i uprzedzeń moich, muszę tu wyznać otwarcie, iż — jak się zdaje — byłem w błędzie. Jeżeli wiara góry przenosi, to dobra wola zdolną jest wyrównać wszystkie przepaście, i przełamać wszystkie przeszkody. Świadkiem temu przekop międzymorza Suezkiego, projekt przekopu Panamy; — świadkiem wreszcie wycieczka do Żółkwi urządzona przez grono zajmujące się stworzeniem artystyczno - literackiego kasyna, w celu bliższego zapoznania pracowników na polu literatury i sztuki. W istocie lepszego ku temu środka trudno było obmyśleć. Nic bardziej ludzi nie zbiża, jak wspólny trud i wspólna niewygoda podróży. Wobec widoków pięknej przyrody, wobec zabytków historycznych, w wesołem gronie wspólnej biesiady, rozwiać się muszą wszelkie, jeżeli istnieją, uprzedzenia. Oklask się więc szczery należy organizatorom tej wycieczki, która z pewnością owoc przyniesie pożądany. I oby tylko bożek Apolo, wstawiając się za swymi kapłanami, wymodlił u Jowisza piękną pogodę, dla powodzenia tej wycieczki.

* * *

O porządku dziennym i gastronomicznym programie tej zabawy mówić tu nie będę; — ten bowiem trzymanym jest dotychczas w tajemnicy. Ciekawszem będzie dla czytelników może to, że staraniem p. Brunona Abakanowicza wydanem zostanie na dzień wycieczki pisemko zbiorowe na wzór paryskiego „Paris-Murcie" p. n. „Efemera", zawierające autografy, wierszyki i sentencje sześćdziesięciu kilku autorów. Projekt wydania tej publikacji, przeznaczonej wyłącznie dla uczestników biesiady, został powzięty przed trzema dniami — i w tym krótkim czasie umiał gorliwy redaktor zebrać rękopis do zapełnienia dwóch arkuszy potrzebny. Właściciel drukarni i litografji *Gazety Narodowej,* p. Karol Groman, oświadczył gotowość poniesienia kosztów nakładu, i w ciągu trzech dni wykonanym został pomysł wydania tej zbiorowej publikacji.

* * *

„Efemera" zadaje kłam przysłowiu, że co nagle to po djable. Rzecz oczywista, że mierzyć jej nie można miarą paryzkiej publikacji, na którą się zbierano przez długie miesiące. Jest ona tylko żartem, którego jedynym celem jest — jak to wyraźnie oświadcza redakcja — wzniecenie wesołości w zamkniętem kółku. Cel ten zostanie, jak z odbitek w ręce moje doszłych wnosić mogę, w zupełności osiągniętym; zawiera ona wiele udatnych wierszyków, a oprócz tego sentencje, bądź to malujące autora, bądź też biegunowo przeciwne jego usposobieniu; i wywołuje w ten sposób efekt wielce humorystyczny. Oprócz tego zawiera „Efemera" trzynaście ilustracji, wykonanych piórem pp. Barącza, Tadeusza i Edwarda Błotnickiego, Grabińskiego, Młodnickiego, Tepy, Wyczółkowskiego i profesora Zacharjewicza, które jakkolwiek w litograficznej odbitce utraciły nieco z swej subtelności, nie ustępują jednak w niczem ilustracjom w „Paris-Murcie" lub „Vindobonie".

* * *

Tytułowa karta „Jednodniówki" zawiera winietę rysunku młodego naszego rzeźbiarza, Tadeusza Błotnickiego. Winieta ta przedstawia młodą kobietę z czułkami muchy u czoła i skrzydłami motyla u ramion i tłumaczy zadanie tej publikacji, również jak i wiersz następujący, którego autora wymienić mi nie pozwala skromność wrodzona.

PROLOGUS.

„Efemera" wyskoczywszy z butelki „Veuve Cliquot", kłania się z wdziękiem na prawo i lewo; — poczem spuściwszy oczy skromnie, przemawia jak następuje:

Życie człowieka i ludzkości całej,
To nic jak tylko „Efemera", w której
Kapryśnie papier zapisują biały:
Dola, niedola — rozkosze, tortury —
Rozum, głupota — słodycz przy goryczy
Porywy wzniosłe i... nakaz płatniczy!

Czasem tam kartkę zapisze całunek,
I za tom starczy taka jednodniówka,
Czasem kastalskich źródeł boski trunek,
Czasami szampan, czasem... szpagatówka,
Czasem uciecha szczera, czasem troski,
Czasami Szekspir, a czasem Mańkowski.

Treść „Efemery" idzie za tą gamą:
Czasami bywa słodszą od karmelka,
Czasami mędrszą niż mędrzec Salamo,
Czasami głupią jak próżna butelka,
Czasem rozkoszną jak kochanki usta,
A czasem nudną tak, jak kieszeń pusta.

W tem »*Paris - Murcie*« Waszego żywota
Jakąż jest rola moja — „Efemery"?
Matką mi była serdeczna ochota,
Wiosenne do chrztu mnie trzymały szmery,
A humor złoty co był tam kapłanem,
Chrzcił mnie — nie wodą dalibóg! — szampanem.

Więc z jednodniówek prosto ród mój wiodę,
A przeznaczeniem mojem: żyć dzień jeden,
Miłą w umysły zaszczepiać swobodę,
Złoty radości otworzyć Wam Eden,
I choćby tyle pozostało po mnie,
To już nie zejdę z świata bezpotomnie.

* * *

Dalej objaśnia nas wydawnictwo *Dziennika polskiego,* jakim sposobem zamyśla pokonać opieszałość swego niedzielnego kronikarza. Jakkolwiek wątpię by fakt ten zaważył na szali europejskich losów, to jednakże przytaczam tutaj w dosłownem brzmieniu tę umowę, ze względu na jej treść humorystyczną.

UMOWA PISEMNA

zawarta po licznych zawodach zamiast dotychczasowej ustnej między wydawcą „Opinii publicznej" z jednej, a kronikarzem niedzielnym z drugiej strony, pod warunkami następnemi:

I. Kronikarz obowiązuje się przez przeciąg 6. lat dostarczać w każdą sobotę, najdalej do godziny 10. rano do numeru „Opinii publicznej", wychodzącego w sobotę z fałszywą i na illuzją prenumeratorów zamiejscowych obliczoną datą niedzielną, kroniki własnego pomysłu, z humorem napisanej, omawiającej sprawy bieżące, kompromitacje polityczne, zatargi literackie i dziennikarskie, wypadki miejscowe, o ile możności nie przedawnione, stylem, jakiego od lat kilkunastu do kronik używa, za wynagrodzeniem, które ze względu na pewne osoby w odrębnym kontrakcie jest ustanowione.

II. Wydawca uprawniony będzie za każdą, w terminie umówionym nie dostarczoną kronikę, potrącić z pensji kronikarza kwotę 50 zł. i pominąć milczeniem, wyrażającem brak wiary, wszelkie wymówki kronikarza, aż nadto oklepane i bezpodstawne, jak np. ból głowy, silne przeziębienie i t. p., bo kronikarz wyraźnie przyznaje, że tylko raz w życiu się przeziębił, a bólu głowy nigdy nie doświadczał, z wyjątkiem kilku sztucznie wywołanych niedyspozycji, którymi na przyszłość tłumaczyć się nie będzie, nie chce, nie może, i których niniejszem najwyraźniej się zrzeka, a wydawca wymówkom takim

wierzyć nie będzie, nie chce, nie może, ani ich słuchać nie ma obowiązku.

Dan we Lwowie 22. maja w dzień niepojawiania się kroniki niedzielnej.

Podpisy wydawcy i kronikarza
Michał Sawicki w r.

† Kronikarz nieumiejący pisać, kładzie znak krzyża świętego

per me
Jan Lam.

* * *

Obok tej umowy widzimy projekt wschodów do przyszłego literacko-artystycznego kasyna, który to projekt nadesłał profesor Zachariewicz. Pyszne wschody z pewnością, chodzi tylko o rzecz bardzo małą, to jest o kapitały potrzebne na budowę pałacu, w którymby stanąć mogły. Lecz dla literatów i artystów — jak wiadomo nie stanowi kilka miljonów żadnej różnicy.

Dwa rysunki p. Grabińskiego przypominające aqua forty francuskie, wykonane są z zwykłą temu artyście subtelnością. Również miłe wrażenie czynią trzy głowy nadesłane przez p. Wyczołkowskiego, a rzucone na papier z nadzwyczajną lekością.

Pan Tepa ozdobił *Jednodniówkę* typem Żyda-husyty, a p. Mikuski rysunkiem przedstawiającym jedną z znakomitości lwowskiego bruku, chłopca sprzedającego zwykle kwiatki przed cukiernią Kosteckiego. P. Młodnicki nadesłał kontrefekt uczestnika wycieczki walczącego rozpiętym parasolem z niepogodą. Rysuneczek ten opatrzony jest podpisem: „Oby nie tak wracać z wycieczki!“

Ostatnią stronę illustrował dowcipny karykaturzysta *Szczutka* z zwykłą sobie werwą.

* * *

Ażeby wreszcie dać czytelnikom poznać nastrój Jednodniówki, pozwalam sobie uzupełnić niedyskrecję następującymi cytatami, do których komentarz czuły czytelnik zapewne sobie w myśli dospiewa:

* * *

TRAMWAJ LWOWSKI.

(Okropna i odwieczna, lecz wiecznie nowa tragedja w 5. aktach z pro- i epilogusem, oryginalnie wierszem napisana przez naocznego świadka).

OSOBY.

On.
Ona.
Cukiersüss.
Mandelbitter.

Prologus.

Straszne serc dwojga usłyszycie dzieje!
On... przebóg — Ona... biada!
W około kruków kraczących gromada *),
A świat -- Zoilus... ten w kułak się śmieje.

Akt I.

(Przed koszarami Ferdynanda. Dzwonek. Do tramwaju wsiada *On*, potem *Ona*. Gwizd. Odjazd).

On (na stronie)

Przebóg! Czy oczy zwodzą mnie?.. To — ona!
Djabelnie stara, lecz jak wyczubiona!..

Ona (na stronie)

O nieba!... On toż?.. Jakże szpetnie łysy!
Lecz szyk garnitur!.. Tak, to jego rysy!..

*) Tylko dla rymu i podniosłości obrazu. Kruków nie było żadnych, jak obaczymy. — p. A.

Akt II.

(plac Gołuchowskich. Przystanek drugi. Odjazd:)

On.
Pani!
Ona.
O panie!
On.
Tyle lat!
Ona.
Lat tyle.
On.
Pomnisz?...
Ona.
Pamiętasz?
On.
Te chwile!..
Ona.
Motyle!...
On.
Jam był studentem...
Ona.
Ja szyłam w zakładzie...
On.
Pomnisz więc Lola?!
Ona.
Pamiętasz twą Jadzię?!
On.
Ah!
Ona.
Oh! Tych wspomnień przez litość nie rabuj!
On.
Serc tych się dwoje kochało na zabój!

Akt III.

(Hotel angielski. Przystanek trzeci. Świst. Odjazd).

On.
Ach, jakież zmiany! *(wzdycha)*
Ona
Losie niepojęty! *(wzdycha)*
On.
Wuj *obywatel* zmarł mi...
Ona.
Żyję z *renty*...

Akt IV.

(Bank hipoteczny. Przystanek czwarty. Świst. Odjazd)

On (po chwili)
Wolnaś?.
Ona (wstydliwie)
Ty pytasz? (po chwili) A ty zaś?...
On.
Jak ptaszek!
(po chwili) Renta powiadasz?...
Ona (po chwili)
Poczciwy wujaszek!
On.
Ah!
Ona.
Oh!
On.
Czas leci.
Ona.
Mam samotnie wdowieć?
On.
Luba!
Ona.
O luby!
On (przyciska ją do serca)
Damy na zapowiedź!

Akt V.

(Plac bernardyński. Dzwonek. Wsiadają Cukiersüss i Mandelbitter. Świst. Odjazd).

On
Hm!
Ona.
Hm!
Cukersüss (do Niego)
Przeprosim. Czego pan umyka?
Nu! a mój weksel?! *(on kaszle)*
Mandelbitter. (do niej)
Pani Dobrozika!
Mam ekzekucję! *(ona kaszle)*
Cukiersüss. (do niego)
Nu co pan mnie szturka?!
Mandelbitter (do niej)
Aj! nie depcz pani! Och!
Ona (spoglądając z pod oka na Niego)
Potwór!
On (spoglądając z pod oka na Nią)
Jaszczurka!

(Tramwaj staje na placu cłowym. *On*, nie patrząc na *Nią*, wyskakuje i uchodzi ku Szkarpom; *Ona* podobnież ku Kręconym słupom. Cukiersüss i Mandelbitter spieszą na Łyczaków fantować dłużnika N. 3.)

Epilogus.

Zeszli-ż się kiedy?... Nigdy! — Gdy *On* w prawo,
Ona na lewo wiodła krok...
Tak krwawo
Serca im rozdarł los — a gdy ołowiem
Cięży mi owa tajemnica, powiem:
On miał dyurnum wieczne, zacna dusza!
Ona zaś, *ona*...
Wsiadać! Tramwaj rusza!

Aureli Urbański.

* * *

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Nie wypada „Efemerze“ nie mieć własnego przeglądu politycznego. Przyszły historyk, gdy wydobędzie ją z archiwów bibljotecznych i przeczyta wszystkie jej moralne i niemoralne sentencje, niechże w końcu się dowie, co w pamiętny dzień pojawienia się “Efemery“ działo się w Europie.

Owóż działo się niewiele dobrego. A winą tego było to, że wszystkie mocarstwa — Anglja, Francja, Germanja, Italja etc. — były rodzaju żeńskiego, a wszyscy kanclerze płci męzkiej. Gdyby istniał odwrotny stosunek, nie miałaby miejsca namiętna miłość kanclerzy do nadobnej odaliski nadbosforskiej, a wszystkie europejskie mocarstwowe stadła żyłyby w świętym spokoju. Zkąd inąd wiadomą jest rzeczą, że płat zazdrości więcej jest rozwinięty u niewiast, niż u mężczyzn. Dzięki więc tej wadzie organicznej wszystkie europejskie panie zapłonęły taką nienawiścią do owej odaliski, gniewem swym i zazdrością tak dalece zasępiły polityczny widnokrąg i nagromadziły tyle chmur, tyle chmur... że w dzień narodzin „Efemery“ spadnie według wszelkiego politycznego prawdopodobieństwa deszcz rzęsisty i zmoczy do nitki tych, którzy... parasolów zapomnieli.

L. Masłowski.

* * *

DOBRA RADA.

Choć nauka lub pieniądz dzwigną Cię z nicości,
Rozkosz znajdziesz, mój druhu, jedynie w miłości!
Miejże to na pamięci i ponad wawrzyny
Przenoś zawsze całusa z ust pięknej dziewczyny.
Bo cóż ci z tego przyjdzie, że kiedyś Błotnicki
Na biust Twój ciosać będzie piaskowiec demnicki

I postawi na studni!... Za takie nagrody
Nigdy się nie wyrzekaj miłości osłody!..
O, wierz mi, jedna chwila w lubych kobiet gronie,
Stanie za całe wieki w lwowskim Panteonie!

Romuald Starkel.

* * *

Ponieważ prawda nagą jest i rodzaju żeńskiego, przepisy policyjne, ze względu na moralność publiczną, zabraniają jej przechadzać się swobodnie po świecie.

* * *

Stosunek serdeczny między publicznością a aktorem zrywa się wówczas, gdy skutkiem dłuższego obcowania z sobą, poznają się dobrze nawzajem.

A. Podwyszyński.

* * *

Projekt ustawy

dla recenzentów teatralnych we Lwowie.

§ 1. Recenzent powinien dokładnie umieć czytać i pisać, i nie może być ani głuchym ani ślepym.

§ 2. Recenzent obowiązany jest codziennie chodzić na przedstawienia teatralne, bez względu na porę roku i na stan powietrza.

§ 3. Recenzent musi być obecnym na całej sztuce, choćby najnudniejszej, którą po raz pierwszy grają — a przynajmniej na tych, o których pisze sprawozdanie.

§ 4. Recenzentowi nie wolno między aktami wchodzić do bufetu.

§ 5. Recenzentowi nie wolno znać się osobiście z artystami a pod żadnym warunkiem z artystkami. Na wypadek, gdyby mu udowodniono, że wspólnie z którym artystą lub artystką zażywał darów bożych, zostaje na trzy miesiące ze swej posady usunięty, — gdyby zaś dopuścił się takiego przewinienia, że był nawet w domu artysty lub artystki, ewentualnie u małżeństwa, odbiera mu się berło krytyczne raz na zawsze.

§ 6. Przepisy w powyższym §. zawarte odnoszą się również do stosunku recenzenta z dyrekcją.

§ 7. Recenzent musi należeć do kasyna artystycznego, nie wolno mu jednak rozmawiać z artystami o teatrze.

Dalsze §§. tyczą się stosunku recenzenta z redakcją.

Postanowienie ogólne. Recenzent musi być pełnoletnim, uczciwym człowiekiem, o ile możności żonatym.

Ustawa ta musi być zatwierdzoną jednogłośnie przez uczestników wycieczki.

Wnioskodawca:
Hilary Jaworowski.

* * *

Psalm przekleństwa.

Przeklęty bądź, o przyjacielu,
Coś mym zasadom zawsze przeczył,
I przy biesiadach ducha wielu
Mój trzeźwy pogląd w lot zniweczył!
I tyś do klątwy mnie rozkrwawił,
Żeś z Mańkowskiego handlu fasad
Umknął do wód i mnie zostawił
Li w towarzystwie czczych mych zasad!

Przeklęta bądź, ty Putyfaro,
Coś mnie uwiodła w dni zaraniu,
Śpiewając czule: »Mio caro!«
I recytując o kochaniu!
I dziś me usta składam w wzgardę
I w zemstę dusza ma rozlana,
Bo słyszę ciągle słowa twarde,
Impertynenckie: — »Nie znam pana!«

Trzykroć przeklęty bądź, lichwiarzu,
Coś mi pożyczał wciąż pieniądze,
I na poezji wciąż ołtarzu
Zażegał rozpasane żądze!
I już ma furja nie ma granic,
I mnie twa dziatwa popamięta,
Że dziś mnie, łotrze, nie masz za nic
I nie pożyczasz ani centa!

Włodzimierz Stebelski.

* * *

WYZNANIE.

Pytasz mię Piękna, czemum dziś tak smutny
Czemu przy tobie siedzę zasępiony,
I czemum w mowie jakiś bałamutny,
I wzdycham jeno jakby zrozpaczony,
Dowiedz się przeto, czem jęk z piersi rwie się,
Smutnym...
— bo smutno w moim pularesie.

* * *

Nieszczęsna Rada.

Gnał jastrząb ptaszka — zda się czyżyka.
Dobrze niepomnę, a pamiętnika
Nie mam przy sobie.

Biedna ptaszyna tak uciekała
Że patrząc na nią, mię litość brała,
Więc co ja robię:

Wołam na ptaszka: umykaj żwawo,
I leć tu do mnie, zaraz na prawo
Nasze okienka.

Ptaszyna rady mej posłuchała —
Pędzi wprost do mnie... A w kącie stała
Z wodą wanienka.

I cóż powiecie!.. Nieszczęsna chwila!
Biedactwo lecąc, tak się wysila,
Że w wodę wpada!...

Ptaszyna żywcem się zgotowała
Jastrząb poleciał... Jam zapłakała...
Nieszczęsna rada!

Ryszard Ruszkowski.

* * *

Sztuka — miła zabawka, a życie
Artystów tkane ze złotej przędzy:
Tak sądzi ogół. Jednak w ich bycie
Ileż tam widno błyszczącej nędzy!...

Walery Tomaszewicz.

* * *

Sztuka artystę jak syna miłuje,
Gdy dla niej miłość, cześć synowską czuje —
Śpiewak bez głosu — aktor bez humoru,
Niech na braciszków idą do klasztoru.

M. Sachorowski.

* * *

Chłopczyna stał na rozdrożu,
Wabiony przez dwie dziewczyny:
Jedna — jak bławatek w zbożu,
Skromna, z rumieńcem kaliny,
Szepce z tęsknotą bezmierną:
„Kocham cię — będę ci wierną!"
Druga figlarna, wesoła,
Z oka tryskają płomienie;
Myśl pusta wieje z jej czoła,
A żarem — piersi jej tchnienie.
Wabi go czarem uśmiechu,
Rozkoszą — wiedzie do grzechu.
Chłopak podumał — nie długo —
Mądry to chłopiec był przecie:
Pokochał jedną — bawił się z drugą:
*
„Nie wierz zalotnej kobiecie."

Marceli Zboiński.

* * *

By ozdobić tę majówkę,
Wydajecie Jednodniówkę
Przepełnioną sentencjami,
Majowemi poezjami,
W których każdy to wypowie
Najmędrszego co ma w głowie!
Paris-Murcyi idąc wzorem,
Każdy ma być w niej autorem!
Rym do rymu łatwo zlepić,
I nazwisko swe przyczepić!
A więc każdy z nas się stara,
Stworzyć wierszy co niemiara.
Dziś mi wiersze są na rękę,
Niemi składam Wam podziękę,
I by krótko skończyć sprawę,
Bóg Wam zapłać za zabawę.

T. Skalski.

Włodzimierz Zagórski.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Encyklopedja pedagogiczna. Pierwszy zeszyt Encyklopedji wyjść ma w połowie bieżącego miesiąca maja. Zbytecznem byłoby podnieść tu, myśl, że dla każdego, kto tylko współczuje z powszechnym biegiem umysłowości krajowej, podobna publikacja obojętną być nie może i nie powinna. Nie wątpimy też, że kierownicy tej publikacji i w wyborze artykułów, i co równie ważne; w utrzymaniu tonu odpowiedniego poziomowi większości czytelników, i w czystości języka, a co najważniejsze w poszanowaniu prawdy społecznej, naukowej i dziejowej, dowiodą, że duszę zadania czują i rozumieją. Oczekujemy tedy z natężoną uwagą pierwszego zeszytu Encyklopedji.

*** W tych dniach otwartą została w Moskwie „księgarnia i bibljoteka słowiańska", zaopatrzona w książki, czasopisma i dzienniki polskie.

*** Ozdobne i coraz wspanialsze wydawnictwa zagranicy mogą budzić w nas prawdziwą zazdrość swoim widokiem.

Z westchnieniem przychodzi się spytać, kiedy u nas do tego stopnia rozwinie się i ożywi ruch wydawniczy, aby aż takie rezultaty sprowadzał?

Co prawda, nie brak u nas na chętnej i dobrej inicjatywie, na pięknych pomysłach, nawet na gotowości nakładu ale brak dostatecznego poparcia ze strony ogółu, który jeszcze w znacznej większości wydatek na książki, a cóż dopiero droższe, za zbytek uważa.

Z tego względu pojedyncze usiłowania wydawnictw ozdobnych, pomnikowych, nie nagrodzone należnem uznaniem, bardzo leniwo powtarzają się w naszem księgarstwie.

Inaczej za granicą: tam sypią się prawie owe zbytkowne wydania, ponętne formą, zajmujące treścią, a stosunkowo łatwo przystępne niską swoją ceną i ułatwionemi warunkami nabycia.

Od pewnego czasu głównie nakładowe firmy niemieckie rozwinęły w tym kierunku gorliwą działalność i dzięki im literatura powszechna zyskała tak wspaniałe edycje dzieł illustrowanych, jak „Hellas und Rom", „Italia", „Egipt", „Sahara" i inne.

Obecnie berlińska firma braci Paetel wydała prospekt i dwa zeszyty nowego wydawnictwa in folio pod tytułem „Spanien".

Dwóch przyjaciół, Teodor Simons literat i prof. Aleksander Wagner z Monachjum, artysta — złożyło się na dzieło pod każdym względem zajmujące o półwyspie iberyjskim.

W przystępnej formie opowiadania znajdujemy początek ciekawych dziejów Hiszpanji, opis kraju, zabytków, kultury, sztuki i ludzi, a wszystko to poparte naocznie wspaniałemi rysunkami, zdejmowanemi na miejscu przez dzielnego illustratora.

Część ksyllograficzna przynosi prawdziwy zaszczyt monachijskiemu drzeworytnikowi, p. T. Knesingowi, który około 350 illustracyj z wielkim artyzmem do tego wydawnictwa przygotował.

Staraniem i talentem trzech ludzi powstanie znowu rzecz piękna i pouczająca.

Oby tego rodzaju spółki jaknajczęściej u nas

się zawiązywały i podobne rezultaty przynosiły; sił nie zabraknie i ochoty, byle tylko poparcie się znalazło.

⁂ W Paryżu utworzyło się towarzystwo z kapitałem trzech miljonów franków, celem wydawania wielkiej międzynarodowej gazety, któraby w Rzymie po włosku, w Paryżu po francusku wychodziła i której zadaniem ma być obrona polityki jezuitów.

⁂ W Konstantynopolu ministerjum oświaty czyni przygotowania do wydania dziennika w rodzaju „Paris Murcia"; czysty dochód obróconoby na wsparcie dotkniętych klęską głodową mieszkańców Małej-Azji.

⁂ Bibljoteka warszawska w zeszycie za m. maj r. b. zawiera: 1. Kościół średniowieczny, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. 2. Od szkolnej ławy, opowiadanie z lat 1798—1813, przez Kajetana Kraszewskiego. 2. Pieśni Bułgarów Macedońskich w Rodopie Stefana Werkowicza, przez Bronisława Grabowskiego. 4. Rodzina hetmana Jabłonowskiego (Ustęp z dziejów panowania Augusta II), przez Władysława Chomętowskiego. 5. Nowe życie. Pamiętnik Danta Alighieri, przez Gustawa Ehrenberga. 6. Rajmund Korsak, przez Henryka Biegeleisena. 7. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. 8. Wiadomości bieżące literackie, naukowe i artystyczne.

⁂ „Gazeta rolnicza w Nr. 21 z r. b. zawiera: 1. Wołanie prowodyrów, przez Jana Jeleńskiego. 2. Wycieńczenie roli jako rzekoma przyczyna nieobradzania się buraków, przez Dr. S. Kudelkę 3. Ustilago maydis (Snieć końskiego zęba), przez Dra Juljusza Kühn dyrektora Akademji rolniczej w Halli. 4. Wystawa tkacka w Warszawie, przez Stanisława Rewieńskiego. 5. Głosy z praktyki gospodarskiej, przez Leona Franciszka Pielesza. 6. Listy z Niemiec, przez E. Lemiesza 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości. 10. Bibljografia i krytyka. 11. Kurjer rolniczy. 12. Odcinek zawiera: Woły robocze, Szkice patologiczno społeczne przez Autora Kłopotów starego komendanta.

⁂ Rozwijająca się w kierunku znanych biur europejskich „Warszawska ajentura ogłoszeń" pp. Rajchmana i Frendlera wydała własnem staraniem nakładem „pierwszy katalog wszystkich gazet przyjmujących ogłoszenia w Królestwie Polskiem, w Galicji w W. ks. Poznańskiem, w Prusach zachodnich na Szlązku pruskim i austrjackim, wreszcie w Cesarstwie rosyjskiem".

Katalog obejmuje krótkie a treściwe opisy każdego z miast, gdzie dane pismo, choćby najmniejsze, wychodzi, liczbę mieszkańców, charakter handlowy i położenie geograficzne; nadto każde pismo mieści odpowiednią charakterystykę.

Wydanie staranne pod względem papieru i druku poprzedzone jest obszerną przedmową, wyłuszczającą cel katalogu.

Katalog otwiera publiczności zagranicznej (wydany jest w języku niemieckim) drogę do anonsowania się na wschodzie Europy, wyświetla warunki ekonomiczne i do reklamowania towarów przerobionych a poszukiwania przez anonse surowych produktów dopomaga.

Katalog, bity w kilkunastu tysiącach egzemplarzy, rozsyłanym jest *bezpłatnie*, znaczniejszym firmom za granicą.

Jestto pierwsza praca w podobnym rodzaju; przypuścić należy, że pp. Rajchman i Frendler walczyli z ubóstwem dat statystycznych i niemało sprężyn poruszyli, gromadząc tyle tytułów gazet z najoddaleńszych miasteczek.

Szkoda tylko, że przy takim nakładzie pracy i kosztów, pp. R. i F. nie dali całkowitego materjału bibljograficznego, to j. nie pomieścili *wszystkich* gazet i miesięczników literackich, nie przyjmujących ogłoszeń.

Co prawda, zminęłoby się to cokolwiek z celem specjalnego wydawnictwa, ale zato dałoby całość mającą szersze znaczenie.

Nauka.

⁂ Wspomnieć winniśmy o dwu publikacjach francuskich, które, z uwagi na imię autora, do dziejów naszego piśmiennictwa należą.

Są to prace Michała Girdwoynia, które najpierw ukazały się w „Pamiętnikach nauk ścisłych", wydawanych nakładem prezesa tegoż towarzystwa a właściciela bibljoteki kórnickiej, ś. p. hr. Jana Działyńskiego, a następnie ogłoszone zostały w francuskim przekładzie w ozdobnych in folio edycjach paryskiego księgarza nakładcy I. Rotschilda.

Pierwsza z tych prac „Anatomia pszczoły" ogłoszona najpierw w Pamiętniku, a następnie w osobnem wydaniu Żupańskiego w Poznaniu, wyszła w francuskim przekładzie Augustyna Pillain w roku 1876 p. t. Anatomie et physiologie de l'abeille par Michel Girdwoyń: ouvrage avec douze planches en litographie, ayant obtenu la medaille de Mérite à l'Exposition universelle de Vienne et la medaille de 1re classe à la societé Imperiale et Royale d'Agriculture à Cracovie.

Na odwrotnej stronie głównego tytułu nadmieniono wyraźnie: Cette publication extraite du volume VI du Mémorial de la société polonaise des sciences exactes à Paris etc.

Druga rozprawa jest ogłoszona najpierw w XIX tomie Pamiętnika Patologia ryb, która wyszła obecnie w francuskim przekładzie p. t. Michel Girdwoyń, membre de societés d'insectologie de Paris, de la Gironde etc. Pathologie des poissons, traité des maladies, des monstruosités et des anomalies de senfs et des embryons, accompagné de 11 plauches litographiées — ouvrage primé par la societé d'acclimatisation de Paris. Paris 1880, in folio.

⁂ *Odczyt p. Raula Picteta.* Za pozwoleniem p. Hervé Mangona, dyrektora paryskiego konserwatorjum sztuk i rzemiosł, p. Raul Pictet w wielkim amfiteatrze zakładu tego miał w dniu 27. marca ciekawy odczyt o sztucznem wytwarzaniu zimna i zastosowaniach jego w nauce i przemyśle. Kwestja ta wielce obecnie interesuje Paryż z powodu zamierzonego przekształcenia trupiarni (la Morgue). PP. Dumas, Fresny i wielu uczonych znajdowało się na tym odczycie, na którym prelegent wybił medal z rtęci zamrożonej, ważący 15 kilogrammów. P. Hervé Mangon ma zamiar udzielać podobnego pozwolenia na odczyty każdemu z uczonych, pragnących zaznajamiać ogół z nowemi zdobyczami naukowemi.

⁂ *Wystawa antropologiczna.* W Berlinie w miesiącu sierpniu r. b. odbędzie się wystawa okazów przedhistorycznej germańskiej antropologii. Wszystkie państwa niemieckie zostały zaproszone do przyjęcia w niej udziału, a każde muzeum tutejsze do przesłania okazów swoich. Prof. Virchow stoi na czele komitetu wybranego dla jej szczegółowego urządzenia.

⁂ W Hamburgu 18. maja otwarty został trzeci sejmik niemieckich nauczycieli; obecnych jest około 900 nauczycieli i nauczycielek ze wszystkich części Niemiec.

⁂ W Peszcie przed kilku dniami obchodzony był uroczyście jubileusz miejscowej wszechnicy. Na nabożeństwie solennem, odprawionem w kościele uniwersyteckim, obecnymi byli, oprócz senatu akademickiego i profesorów, arcyksiążę Józef, tudzież ministrowie, deputowani, dygnitarze i znakomitości stolicy, oraz liczne deputacje innych akademij i wyższych zakładów naukowych. Po nabożeństwie orszak cały udał się do auli uniwersyteckiej, gdzie uroczyste posiedzenie zagaił rektor Maryo.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Dla projektowanej „Macierzy" ofiarował p. Ludwik Grabowski sumę rs. 20,000.

O hojnej tej ofierze donosi J. Ign. Kraszewski w „Biesiadzie literackiej".

⁂ Centralny komitet pomocy dla cierpiących niedostatek górnoszlązaków otrzymał w tych dniach z Nowego Yorku 20,570 marek. Ogółem do komitetu tego wpłynęło dotąd 370,000 marek. Również i z Australji nadchodzą znaczne ofiary.

⁂ W sezonie letnim r. b. udzielać będą porad lekarskich w zdrojowiskach zagranicznych następujący lekarze:

W Karlsbadzie — dr. Stanisław Hassewicz.

W Franzensbadzie — dr. Hipolit Przezdziecki.

W Marienbadzie — dr. I. Kopernicki, docent uniwersytetu jagiellońskiego i dr. Zygmunt Dobieszewski.

W Cieplicach (Teplitz-Schönau) dr. Władysław Krajewski.

W Gleichenbergu (w Styrji) — dr. Feliks Czerwiakowski.

W Priesnitzthal (pod Wiedniem) — dr. Maksymiljan Gumplowicz.

W Baden (pod Wiedniem) — dr. Henryk Blumenfeld.

W zdrojowiskach galicyjskich:

W Szczawnicy — dr. Wł. Ściborowski i dr. I. Kołaczkowski.

W Iwoniczu — dr. Adam Świrski i dr. Klemens Dębicki.

W Krynicy — dr. Bolesław Skórczewski.

W Żegestowie — dr. Tytus Szczepański.

W Truskawcu — dr. Zygmunt Rieger.

W Zawałowie (zakład hydroterapji) — dr. Aleksander Medwej.

⁂ *Wypadki na kolejach żelaznych.* Wedle wykazów statystycznych, liczba ofiar na drogach żelaznych wynosi: w Rosji jeden na 446,000 pasażerów; we Włoszech jeden na 539,000; w Belgji jeden na 933,000; w Prusach jeden na 1,367.000; we Francji jeden na 2,490 000. Francuskie dzienniki tryumfują z tego; ciekawą jest rzeczą, czy rok obecny da im stosunek podobny — o czem wielce wątpić można.

⁂ *Ofiary pożarów.* W ciekawym artykule „o ogniu i wodzie w Paryżu", zamieszczonym niedawno w jednym z numerów Revue scientifique, dowiadujemy się, że ze wszystkich miast europejskich, w Londynie najwięcej ludzi traci życie od pożaru. Najniższą cyfrę pod tym względem przedstawia Monachium, gdzie przeciętnie na rok ginie na 100,000 mieszkańców tylko 0·4, w Glazgowie 1.7, w Berlinie 2, w Paryżu 2·4, w Neapolu 4·1, w Hanowerze 5·7, w Kolonji 7·1, w Londynie 8·3.

⁂ *Pływanie po Morzu Martwem.* Zdanie ogólne podróżników, jakoby kąpiel w morzu Martwem żadnego nie przedstawiała niebezpieczeństwa, bo nikt w gęstej jego wodzie utonąć nie może, w ostatnich czasach silnie zachwianem zostało. Pokojówka pewnej lady rzuciła się śmiało, lekceważąc głębię, i poszła na dno. Z wielką trudnością wydobyto ją na brzeg, ale tak się opiła ostrej wody, że bardzo ciężko lekkomyślność swoją odchorować musiała.

⁂ *Narkotyczność gałki muszkatułowej.* Oddawna jest wiadomem, że gałka muszkatułowa posiada silne własności narkotyczne, ale użycie jej jako przyprawy w niewielkich ilościach tak jest rozpowszechnione, że łatwo przepomnianem i lekceważonem być może niebezpieczeństwo grożące przy niepomiernem jej użyciu. Pewien lekarz amerykański w miejscowych dziennikach opowiada wypadek, że jedna z pacjentek jego za poradą swej starej mamki, poczęła pić napar z gałki muszkatułowej. Użyto nań półtora orzecha; całą zaś tę ilość, chora w ciągu dnia wypiła. O dziesiątej wieczorem uczuła napady senności, a nazajutrz o czwartej rano, była w głębokiem odrętwieniu. Objawy chorobliwe były takie same, jak przy opium i środków przeciw nim tych samych użyto. We 24 godzin chora przyszła do siebie.

W ilości dwóch do trzech drachm gałka muszkatułowa wywołuje spiączkę i obłęd, a bezmyślne jej używanie w Indjach miało niebezpieczne i fatalne skutki. Kwiat muszkatułowy, który jak wiadomo jest zewnętrzną okrywą gałki, posiada też same własności.

Podróże.

⁂ Rodak nasz, Jan Kubary, Warszawianin, znany podróżnik i naturalista, przebywa obecnie w Panape, na jednej z wysp australskich.

Kubary, zerwawszy stosunki z domem Godfroy z Hamburga, dla którego zbiorów przyrodniczych nadsyłał ciekawy okazy i którego okrętami podróżował, odbywa obecnie wycieczki własnym kosztem.

W liście ostatnim, pisanym do jednego z przyjaciół, donosi, iż wkrótce przez Honolulu wyseła transport okazów przyrodniczych dla Warszawy.

⁂ Kapitan Howgate wyekwipował w Anglji parowiec śrubowany o ładunku 3500 cetnarów, dla przywiedzenia do skutku swego projektu założenia stacji w zatoce lady Franklin w kanale Smitha pod 81° stopni szer. półn; obok odkrytego tamże pokładu węgla. Parowiec ten w listopadzie udał się

do Ameryki, gdzie jeszcze na podróż wśród ludów wzmocniony zostanie, ażeby z końcem czerwca rb. udać się ku biegunowi.

*** „Z pod bieguna". W ciągu lata ubiegłego 1879 roku, jak donosiliśmy dawniej naszym czytelnikom, statki europejskie zmierzające do ujścia Obi i Jeniseju znalazły zachodnie wrota do morza Karskiego zamknięte przez lody i wszystkie prawie nie dopiąwszy celu zawrócić musiały. Wszelako rossyjski parowiec „Luiza" pod kapitanem Dahlmanem, czekając dłużej od innych na zmianę powyższych niefortunnych okoliczności zdołał w pierwszej połowie września dostać się przez cieśninę Ingorską na morze Karskie, prawie zupełnie w tej porze od lodów wolne a następnie stanąć 13. września u ujścia Jeniseju. Wyładowawszy towary, składające się z cukru, tytoniu, oliwy, nafty i zabrawszy przygotowane już zboże, wyruszył on z powrotem 21. września, ale przy Małoczkinym Szarze i na południu od niego napotkał wielkie massy zbitego lodu, które mu wielkiem groziły niebezpieczeństwem. Po wielu wszakże wysileniach udało mu się wyrwać 11. października przez cieśninę Ingorską z morza Karskiego. Dnia 16. października stanął więc w Hamerfeście a 30. w Bremerhaven. Na morzu Karskiem spotkał wszelako statek norwegski Norland pod kapitanem Andersonem, który już 24. lipca dostał się tu i nie znajdując przeszkody od lodów, dopłynął do północnego krańca Nowej Ziemli.

ROZMAITOŚCI.

U króla Birmy.

Niedawno barbarzyński król Birmy poświęcił swoim bogom nową hekatombę z ciał ludzkich...

Wiadomość o tej przerażającej rzezi rozbiegła się szybko z Mandalaju po Europie, budząc wszędzie zgrozę i zajęcie losami tego dzikiego ludu.

Korespondent „Kölnische Ztg." miał świeżo rozmowę z królem Birmy, a prawdziwie zajmującą, oryginalną treść jej zapewne z ochotą zechcą poznać nasi czytelnicy; dlatego dzielimy się z niemi tym rodzajowym obrazkiem azjatyckiego barbarzyństwa.

— Otrzymałem audjencję w niedzielę — opowiada korespondent.

Minister pierwszy, dworu Kien-Wuun-Menghien zawiadomił mnie, że nazajutrz zrana o godzinie szóstej mam się stawić w pałacu.

O samym brzasku dnia więc zerwałem się z łóżka; pozwolono konsulowi Andreino służyć mi za tłumacza, pocwałowaliśmy zatem obydwaj konno ku właściwej stolicy.

Mandalay wygląda ponuro i samotnie, jak opuszczona przez wojsko twierdza.

Dwanaście bram prowadzi do tyluż mostów, z których wszakże tylko pięć wykończono; jednym z nich, od strony wschodniej, wjechaliśmy do miasta.

Przed każdą bramą stoi pień drzewa, na którem wisi tablica bronzowa z napisem:

„Oto jest główne i rezydencjonalne miasto Mandalay, założone w r. 1856 przez króla Mendoon" i t. d.; dalej następują napomnienia, ażeby się w niem przystojnie i moralnie zachowywano; w przeciwnym razie tablice zalecają przypatrywać się malowidłom ściennym, które tuż obok wyobrażają wszystkie formy i rodzaje mąk i tortur, oczekujących na przestępcę:

Zaiste widok nie pociągający.

Bramy malowane są na czerwono i bogato obite złotem.

Miasto zbudowane regularnie i podzielone na czworokąty ulicami, łączącemi owych dwanaście bram; w ogrodach widzimy budowle na palach, zamieszkałe przez ludzi prywatnych i urzędników dworu; zresztą ani śladu życia, przemysłu i handlu, ani śladu kościoła lub bazaru — wszędzie ponura głęboka cisza.

Takiem jest Mandalay we wnętrzu swoich murów.

Czy weselszym jest ono w czasie powtarzających się tak często na ulicach jego publicznych egzekucyj — nie wiem.

Przechowały się tu stare obyczaje i tradycje co do tego obrzędu.

Zwyczajnie zabiczowywa się skazanego na śmierć, albo rzuca się go do jamy, zapełnionej krokodylami; ulubionym sposobem wyprawiania na drugi świat ludzi jest także krzyżowanie lub przepędzanie przez ostre rózgi, przyczem przyjaciele skazanego, ażeby skrócić jego męczarnie, usiłują mu coprędzej bambusowemi kijami roztrzaskać głowę.

Często zaszywają winnego w czerwony worek rzucają go pod nogi wyuczonego słonia, który go według przekazanej metody rozgniata.

Ostatniej karze podlegają najczęściej damy dworu.

Wszystkie ulice zbiegają się w kierunku drewnianej palisady, stanowiącej jądro miasta i opasującej pałac królewski.

Z każdej strony prowadzi doń jedna brama; wjeżdżamy wschodnią, pilno bacząc, azeby nie wjechać od zachodu.

Tędy bowiem uczęszczają tylko damy i służba haremu.

Brama ta jest kresem, po za którym człowiek przestaje być człowiekiem — tutaj masz tylko króla i niewolników.

Każdy musi na spotkanie monarchy zsiąść z konia lub wozu, dobrze bacząc na kolor słońcochrona, który dzierży w ręku.

Kolor ten bowiem stać się może zabójczym...

Tylko królowi wolno nosić białe słońcochrony; wysocy dostojnicy wojskowi noszą złote, dygnitarze cywilni szare.

Oto spotykamy najwyższego dostojnika, chwiejącego się na majestatycznym słoniu, owiniętego w przepisaną ceremonjałem białą muślinową przepaskę.

Ponad nim ztyłu niewolnik niesie olbrzymi kapelusz z bambusu i liści palmowych, mający częstokroć do pięciu stóp w średnicy, ażeby tem lepiej osłonić od żaru słońca dostojną czaszkę.

Dygnitarz znający Andreina uśmiecha się dość uprzejmie – podają sobie nawet ręce i śmieją się do siebie; Andreino przedstawia mię i — śmiejemy się we trzech.

Mimo dobrego humoru dreszcz mię trochę przechodzi — szczęściem miecz wielkiego ministra niosą trochę opodal...

Duszna tu w ogóle atmosfera.

Wałęsają się dokoła żołnierze jego królewskiej mości; takich nędznych bandytów w łachmanach nie widziałem nawet podczas rewolucji w równikowej Ameryce.

Mundur składa się z czerwonych spodni angielskich surdutów z różnobarwnemi wyłogami; wszystko to jednak brudne i podarte; na głowie czerwone pikielhauby z herbem i złocistym szpicem.

Za palisadą wznosi się otoczony podwójnym murem pałac; wszystkie bramy otoczone strażami, wszakże pasport mój otwiera mi wszystkie wejścia.

Z obu stron moich wznoszą się dwie czworoboczne, niezgrabne wieżyce; na jednej ulokował się Budha w małej szafce, na drugiej wiszą: dzwon i bęben.

Muzyka ta obwieszcza birmańczykom godziny.

Długie, otwarte krużganki, pełne leżących na brzuchu istot ludzkich, biegą dokoła murów: są to biura rozmaitych ministrów.

Za drugim murem odbywały się ćwiczenia armji królewskiej, w których uczestniczyło blisko cztery tysiące ludzi.

Włoski „jenerał" Primerano (w Mandalayn jest dwóch włoskich, a jeden francuski „jenerał") pełnił tego dnia służbę.

Przedziwne tu rzeczy widziałem.

Żołnierze byli zupełnie nadzy, oprócz małej opaski, której barwa zmieniała się według pułku; musztrowali się z karabinami w rękach, nie wedle komendy, ale w takt bębna kruszcowego (gong), którym w tyle poza jenerałem władał po mistrzowsku „sztabowy dobosz".

Broń prezentują na sposób angielski, podnosząc karabin powyżej głowy.

Poczciwi ci ludziska, na rozkaz biją czołem o ziemię i raczkujący jak dzieci, wybornym są materjałem wojennym: mogą znieść największy głód i pragnienie, nie znoszą tylko — strzelania.

Zresztą karabiny ich mają wartość więcej niż podejrzaną; są to odwieczne, zdemolowane gruntownie muszkiety, z których z pewnością żaden nie wypaliłby w razie potrzeby.

Widziałem żołnierza wydobywającego karabin z bagna, w którem tygodnie może się przeleżał; wytarł go piaskiem — i to się nazywało „wyczyszczeniem".

Nie przesądzajmy jednak o wielkich zaletach armji jego królewskiej mości króla Birmy!

Mamy nadzieję, że Anglja wystawi na próbę celność strzałów i bitność rekrutów jenerała Primerano..."

*** *Źródła gorące w Japonii.* O kilka mil geograficznych na wschód od Nangasaki, na półwyspie Simabara, wznosi się góra Unzen do 4700 stóp nad poziomem morza. Mieszkańcy mają ją za wulkan, który wprawdzie od końca przeszłego wieku spoczywa, ale kiedyś przez wybuchy i trzęsienia ziemi pozbawił życia 53.000 ofiar. Jednakże pan Guppy, lekarz marynarki angielskiej, przy wyjściu na szczyt jego w październiku zeszłego 1879 roku, nie znalazł nigdzie po drodze śladów nowszej działalności wulkanicznej, ale od brzegu morza aż do najwyższego wierzchołka wszędzie porfir tylko, jako skałę dominującą. Prawdopodobnie trzy istniejące tu źródła siarczane gorące stały się powodem odpowiedzialności góry za owe wstrząśnienia. Pierwsze z nich leży tuż przy morzu i ma temperaturę 36° R. Przeszło o 2000 stóp wyżej, na samej już górze, znajdują się gorące źródła Kojeego i Unzen; pierwsze tworzy zbiornik, mający od 30 do 45 stóp średnicy i 66° R. ciepła — kiedy źródła Unzen w wielkiej liczbie na powierzchni mnogich morgów tryskają. Grunt tu wszelkiej roślinności pozbawiony, miejscami tak jest gorący, że w grubych nawet butach na jednym punkcie długo ustać niepodobna. Gęsty obłok białej pary, z wonią siarkową jak sama woda, wznosi się w powietrze, temperatura zaś wody dochodzi do 76° R., a zatem prawie do punktu wrzenia.

*** „Ostrygi zielone". Wiadomo że w niektórych miejscowościach poławiają się ostrygi o zielonem mięsie, które nawet wielce są cenione przez smakoszów. Takie zielone ostrygi łowią się naprzykład w niektórych miejscowościach Włoch, we Francji, na wyspie Ole'ron na Atlantyku i w Courseéilles na cieśninie Kaletańskiej. Wiele robiono przypuszczeń co do powodu owego zabarwienia. Przypisywano je szczególniej chorobie mięczaka, to znowu wpływowi dna morskiego, mięszaninie wody słodkiej z morską lub obecności siarczanu miedzi w parkach ostrygowych. Obecnie p. Puyse'gur, urzędnik marynarki i delegowany do założenia parków ostrygowych w Croisie, daje nader proste wyjaśnienie tego objawu. Według doświadczeń jego, zabarwienie zielone ostryg pochodzi jedynie od pochłaniania przez nie pewnej morszczyny mikroskopowej z rodziny okrzemków, a mianowicie gatunku „Novicula fusiformis ostrearia. Żywiąc się temi okrzemkami ostrygi stają się zielonemi z tego powodu, że mikroskopowe te jestestwa, obok barwnika żółtawego, właściwego okrzemkom, posiadają jeszcze w komórkach ciecz pięknej lazurowej barwy.

Treść Nr. 22. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.